

## AEROBIC:

- dla wszystkich
- w domu
- bez drogich ciuchów

str. 12

● Punk story - str. 6-7

● Sekretarka-szparka str. 9

● Bruce Lee - str. 10

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

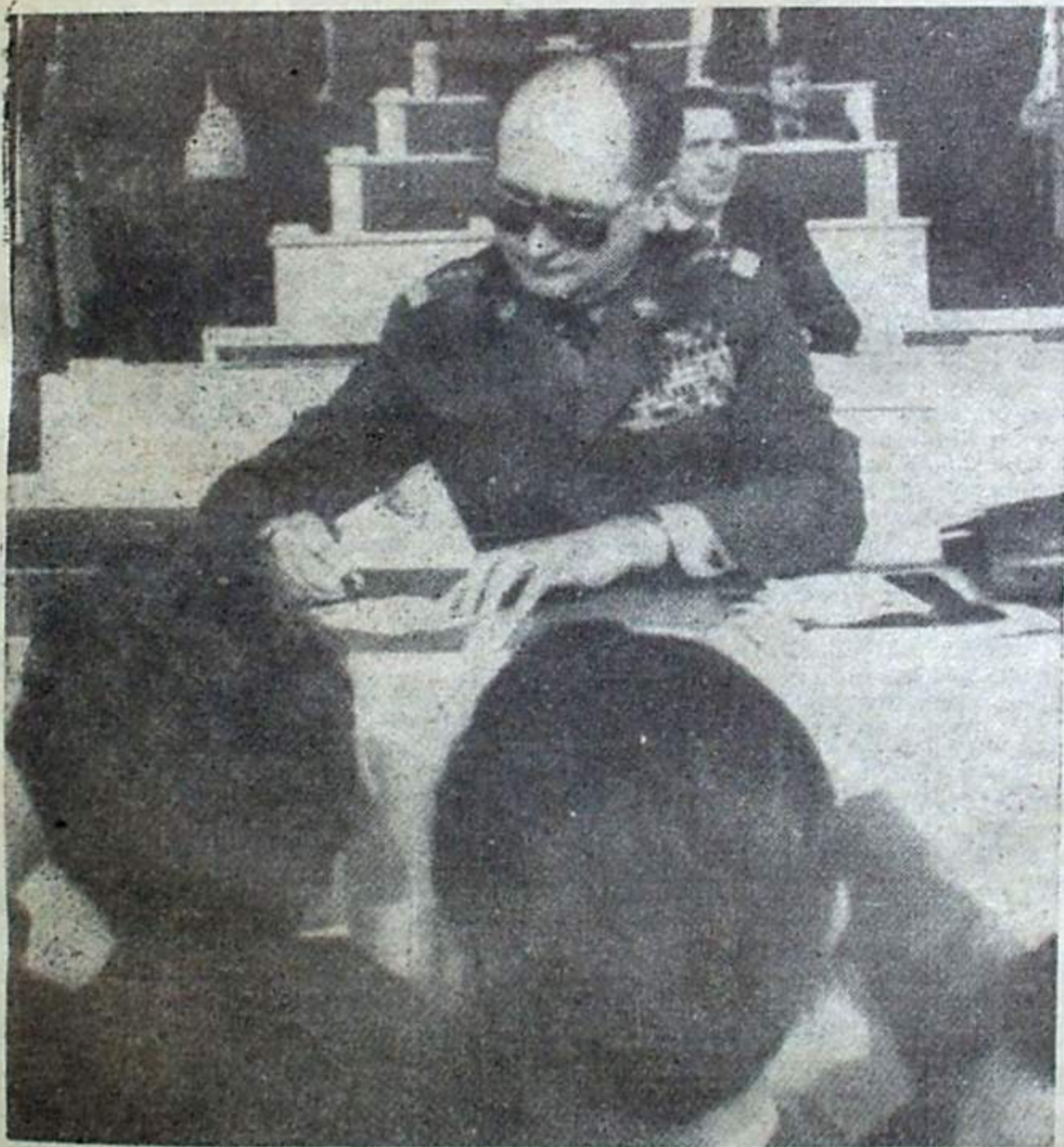
Rok założenia 1933

# Kamena

NR 7 (800)

25 marca - 7 kwietnia 1984

CENA 10 ZŁ



O Krajowej Konferencji Delegatów PZPR piszemy na str. 2.  
Fot. CAF

Pamięć własna(6)

## Charyzma Władysława Gomułki

Czesław Bobrowski

**R**UCHY masowe mogą od zarania kształtować się wokół pewnego programu, który potem uzupełniają i modyfikują, jeśli zajdzie potrzeba. Ale może być także odwrotnie — masowy ruch może zrodzić się bez określonego programu i dopiero go poszukiwać. Tak właśnie było w wypadku wielu problemów stojących przed październikową odnową. Im mniej określony był program, tym większa rola w jego ostatecznym ukształtowaniu przypadła Wiesławowi — Władysławowi Gomułce. Jako indywidualność górował on nad Biurem Politycznym i całym aparatem partyjnym. Partia nie mogła się bez niego obyć. Jako postać polityczna zyskał

Dokończenie na str. 4

Losy wojny rzuciły autora wspomnień poprzez Rumunię do Francji, a w końcu — na krótko — do Londynu. W sierpniu 1945 roku wrócił do Polski, gdzie do 1948 r. sprawował funkcję prezesa Centralnego Urzędu Planowania i działał w PPS (wspomnienia dotyczące tego okresu były publikowane w ubiegłym roku w „Polityce”). W roku 1948 wyjechał za granicę — wplaw do Szwecji (jako poseł), a następnie do Francji (tu opublikował dwie książki: „Jugosławia socjalistyczna” i „U źródeł radzieckiego systemu planowania”). W listopadzie 1956 roku ponownie wrócił do Polski i wkrótce objął funkcję wiceprzewodniczącego Rady Ekonomicznej.

(Red.)

## Sztuka pisania

Maciej Podgórski

**U**KAZAŁ się album pt. „Podlasie w fotografii Waldemara Stępnia”, opublikowany przez Krajową Agencję Wydawniczą w Lublinie (1983). Nie zamierzam recenzować tego przedsięwzięcia edytorskiego, gdyż maczał w nim palec. Nie da się jednak ukryć, że do całości (tj. do fotogramów Waldemara S. oraz lubelskiej KAW) mam stosunek pozytywny nadzwyczajnie, bo gdybym na przykład nie miał, to bym na przykład nie pisał wstępu do dzieła pt. „Podlasie” itd.

Ponieważ album zawiera ponad 220 fotogramów, w tym bardzo wiele ujęć konkretnych obiektów historycznych, miejsc i zdarzeń, więc czytelnik (oglądacz?) nie oszalał z niewiedzy, wydawało mi się rozsądne sporządzić obszerniejszą, że tak powiem, ikonografię fotoreporterskich dokonań, aby mianowicie było wiadomo, co to za obiekty, miejsca i zdarzenia zostały przedstawione oraz ewentualnie dlaczego.

Istnieje ponadto bardziej zasadniczy powód, dla którego ja napisałem ten wstęp. Pisuję mianowicie

nie dlatego, żeby coś doniosłego osiągnąć lub zaspokoić czyjeś szlachetne potrzeby, ale dlatego że ktoś chce mnie drukować i płaci, a ja potrzebuję pieniędzy jak każdy normalny facet. Osobiście uważam, że szersza skuteczność i przydatność pisania (myślę o dziennikarstwie itp., a nie o donosach) jest u nas prawie żadna, zarówno w sferze materialnej (chyba że chodzi o zapłatę), jak i moralnej oraz intelektualnej. Byłaby to tragedia dla ludzi, którzy swoje pisanie traktują w sposób idealistyczny lub choćby wzniosłe instrumentalny, a nie cyniczny, gdyby nie fakt, że zapłaty są mizerne i obłożone kłopotliwym podatkiem wyrównawczym. W każdym razie jedynym skutkiem pisania jest honorarium.

I wszystko byłoby względnie w porządku, zarówno w sensie ogólnym, jak i w szczegółowym przypadku pt. „Podlasie”, gdyby na dwie ostatnie strony albumu nie przedarł się Al. Leszek Gzella, który — o ile mi wiadomo — miał napisać

Dokończenie na str. 8

# z notatnika

19 III. Nie silę się na komentarz, ponieważ wiedzę o Krajowej Konferencji Delegatów PZPR mam jeszcze cząstkową; trzeba będzie dokładnie przestudiować referat Biura Politycznego, przebieg dyskusji, a także uchwalone dokumenty, a zwłaszcza deklarację ideową „O co walczymy, dokąd zmierzamy”. Niemniej chciałbym przedstawić niektóre myśli delegatów, którzy zabierali głos w pierwszym dniu Konferencji. Członków partii marksistowsko-leninowskiej powinien cechować niepokój, twórczy niepokój. W przeszłości dość mieliśmy komunalów i tzw. drętwej mowy. Nie wszystkie błędy już udało się nam wyrugować, są jeszcze tacy, którzy i dziś chcieliby lakierować rzeczywistość byleby przypodobać się „górze”. Ale i „górze” jest teraz inna, umie patrzeć krytycznie, czego dowodem był chociażby referat Biura Politycznego, wygłoszony przez Wojciecha Jaruzelskiego. W przeszłości — stwierdził I sekretarz KC PZPR — o niedostatkach mówiono ogólnie, żeby „nie dostarczać amunicji wrogowi”. My z tą praktyką zrywamy. Im większy będzie postęp, im lepiej będzie się w Polsce działo — tym ostrzej i bardziej krytycznie mówić trzeba o nie rozwiązanych dotychczas problemach, o naszych błędach i zaniedbaniach. To najlepszy sposób, abyśmy nie popadli w drzemkę, nie doznali upojenia sukcesami.

A oto fragmenty wypowiedzi niektórych dyskutantów. Problemy duże i małe. Sprawy, które boją, które budzą niepokój...

„Robotnik sukcesy reformy mierzy tym, co jest na półkach sklepowych i co ma w kieszeni. Sprawdzaj jej funkcjonowanie przez przyzmat tego, jak gospodarzy się jego zakład pracy, ile on sam musi bezczynnie czekać na materiały, co mu brakuje do normalnej produkcji. Patrzy na to, czy efekty jego pracy są wykorzystane, a na ile po prostu się marnują. Od tej strony patrząc, postęp jest niewystarczający. Robotnicy widzą: spekulacja kwitnie, towary są byle jakie, jedni ciężko pracują — mają niewiele, inni, choć niewiele robią — mają tyle samo lub dużo więcej.

Owszem, ludzie dostrzegają, że nastąpiła poprawa sytuacji. Czy jednak w stopniu zadowalającym? Sądzę, że nie wykorzystujemy ogromnej części tego potencjału, jaki mamy. Ilekroć produkuje się buble, marnotrawiąc surowiec i ciężką pracę. Ilekroć jest efektów pozornych, wynikających z faktu „wpakowania” w ceny zwyczajnej niedoładności. Konsument płaci za bałagan i za bylejakość. Robotnicy to dostrzegają i winą za ten stan rzeczy obciążają władze centralne i samą partię. Czy mają rację? To jest inny problem. Bo czasem jest tak, że syn narzeka na kiepskie buty, które produkuje jego ojciec, ojciec natomiast mówi — że dla „czerwonych” nie będzie pracował. Obaj z synem klną na władzę, choć sami sobie buty szyją. I tak — naprawdę to nie tylko sobie.” (JAN KOPROWSKI, I wiceprez w Hucie im. Lenina, I sekretarz KZ w Zakładzie Stalowniczym).

„Żeby przewodzić, trzeba przodować. A jesteśmy przecież wszędzie w fabrykach i instytucjach, w urzędach, uczelniach, w różnorodnych organizacjach społecznych i zawodowych. Czy wszędzie tam, gdzie jesteśmy, jest już dobrze? Bo nie wszyscy z nas są jednakowo zaangażowani w to, co robimy. Niektórzy dekuja się, inni na coś jeszcze czekają, inni krytykują wszystkich, ale nie są w stanie samokrytycznie spojrzeć na siebie i też przeszkadzają w pełnej realizacji uchwał. Tylko u nas, w naszych organizacjach, jest siła, aby ten stan rzeczy zmienić, ale musimy się tę siłę w sobie wydobyć. My w swoich podstawowych organizacjach partyjnych znamy się najlepiej, wiemy, jak kto pracuje, jak działa. Nie potrafimy jednak jeszcze wszędzie łmiennie, po nazwisku ani nagradzać, ani karać. Czy nikt z was, towarzysze, nie słyszał od swoich współtowarzyszy pytania: — „a czego ty, sekretarzu, jeszcze ode mnie chcesz? Nie wystarczy ci, że płacę składkę, albo nie wystarczy ci, że jesz-

cze jestem?” I są tacy jeszcze z nami, a my nie zawsze potrafimy się ich pozbyć. Wyprowadzamy z naszych szeregów takich dekonników z całą konsekwencją i na zawsze.” (MIROSLAWA ROGALSKA, nastawiacz maszyn, sekretarz KZ w Zakładach Obcieliowych „Wera” w Łodzi).

„Samozadowolenie jest pierwszym objawem zgnębienia procesu deprowania się władzy, a nas po prostu nie stać na recydywę starych błędów. Od wpadania w euforię powstrzymują nas prezentowane przez niektórych członków partii postawy kapitulanki, pełne bierności i samousprawiedliwienia się. Zbyt często własne zaniedbania i skłonności do lamania przepisów tłumaczone są kryzysem i trudnościami obiektywnymi. [...] W trakcie licznych spotkań z robotnikami zetknąłem się z ich niepokojem wobec ciągłego rozrostu instytucji, zwłaszcza centralnych. Jak grzyby po deszczu zaczynają mnożyć się różnego rodzaju rady, komisje, centrale i zarządy. Angażując ogromny potencjał intelektualny społeczeństwa, wymienione organy opracowują coraz to nowe programy i stanowiska czysto sprzeczne ze sobą.” (MARIAN OTAWA, kapitan Żegluga Wielkiej w Przedsiębiorstwie „Polska Żegluga Morska” w Szczecinie, członek KC PZPR).

„Istnieje jeszcze znaczna część organizacji partyjnych i niektórych instancji, które nie wyszły ze sfery apatii, prowadzą często pozorną działalność. Ilekroć to jeszcze spotykamy zebrań, konferencji, na których posługujemy się ogólnikami i hasłami, a pompatyczne wypowiedzi nie trafiają do nikogo. Czas z tym skończyć.” (RYSZARD DZIENISZ, mechanik w sopočkih Zakładach Wyrobów Galanterijnych, I sekretarz POP).

„Zdaje się, że przyjęty po burzliwej dyskusji zapis w Uchwale IX Zjazdu, iż partia przyjmuje w swoje szeregi również wierzących, odwraca uwagę od faktu, że w statutowym obowiązku przyswajania i popularyzowania marksizmu-leninizmu mieści się również materialistyczny światopogląd. Od razu wyjaśniam, że nie protestuję przeciwko przyjmowaniu do partii ludzi wierzących. Ale uważam, że nie może być nam obojętne, jaki światopogląd reprezentuje towarzysz o dziesięcioletnim stażu partyjnym, w dodatku legitymujący się wyższym wykształceniem. W organizacjach partyjnych musimy wrócić do analizowania postaw ideowych naszych członków, zwłaszcza kierujących zespołami ludzkimi, wychowujących młodzież i dzieci. Prowadzimy walkę ideową i nie wolno nam o tym zapominać. Nie wolno nam tego odkładać. Kto nie idzie naprzód, oddaje pole.” (JANUSZ MACIEJEWICZ, dyrektor naczelnego Kombinatu Górniczo-Hutniczego Miedzi w Lubinie).

„Nie będę z tego miejsca mówił, że mi się nie oplaca produkować. Powiem otwarcie, że produkuję to, co mi się oplaci. Każdy chłop tak powinien robić. Zwracam się do was, towarzysze z rządu, ministrowie, usłuchajcie rolników, stwórcie właściwą relację cen, nie twórcie wśród nas cwaniaków, którzy wychwytyją najbardziej opłacalną produkcję i bogacą się. Nie mówcie, że jak chłop nie sprzeda ziemniaków, to będzie pasł nimi świnię. Takie myślenie może tylko pogłębić brak żywności. To nie z sentymentów owce z gór zeszyły na niziny, lecz z kalkulacji. Pamiętajmy o mieście, bo Polaka twarogiem i jarzynami nie nakarmimy. Wiele ekip partyjno-państwowych już się na tym poślizgnęło.” (MARIAN TURSKI, rolnik z gminy Trzebieszów, woj. siedleckie).

„To nieprawda, że Polska głoduje. Polska tylko mniej zjada niż kiedyś, bo zjada za swoje. Musimy się teraz nauczyć jeść za swoje, żeby systematycznie móc zjadać więcej, ale też tylko za swoje. Stać ten dzielny naród na wyrzeczenia w chwilach dramatycznych. Ale, żeby ich nie było, należy zgodzić się na wyrzeczenia teraz, kiedy dramaty są mniej do-

tkliwe od tych, których doświadczali nasi ojcowie.” (BOLESŁAW MACKOWIAK, dyrektor Kombinatu PGR Kazimierz, woj. poznańskie).

„Nieobecność przez pewien czas ruchu związkowego w systemie politycznym państwa, a ponadto rozbiście tego ruchu w latach 1980—1981, pozwoliło administracji państwowej i gospodarczej zapomnieć o tym naturalnym rzeczniku ludzi pracy. Odrodzony ruch związkowy dobijać się więc musi swoich praw, walczyć o uczestnictwo w zarządzaniu państwem. Jest to proces trudny, wymaga zmian w świadomości biurokratów i wygodniczek, którzy przy podejmowaniu decyzji nie liczą się z opinią ludzi pracy.” (RAJMUND MORIC, przewodniczący Federacji ZZ Kopalń Węgla Kamiennego, Przedsiębiorstw Robót Górniczych, Przedsiębiorstw Budowy Szybów w woj. katowickim).

„Nie rozumiemy, dlaczego w obecnej sytuacji gospodarczej kraju zasadne jest tworzenie nowego przedsiębiorstwa handlu opałem, podczas gdy tę funkcję dobrze spełniają gminne spółdzielnie, które mają też zorganizowaną bazę. Dlaczego wbrew negatywnej decyzji części społeczeństwa i to, podkreślam, społeczeństwa zaliczanego do abstynentów, tworzy się przedsiębiorstwo obrotu napojami alkoholowymi „Ponal”. I jeszcze jeden przykład — powstanie przedsiębiorstwa hurtu spożywczego nie tylko spowodowało wzrost kosztów z tytułu zatrudnienia nowej administracji, lecz również wydłużyło drogę od producenta do konsumenta. Należy liczyć się z tym, że każda reorganizacja pociąga za sobą duże koszty, nie tylko materialne, ale i społeczne.” (MARIANNA BIRGIEL, prezes Zarządu PSS w Elku).

„A czyż nie bywa i tak, że argumentem kryzysu rozgrzeszamy najróżniejsze zaniedbania, często zwykłą niegospodarność, brud, niechlujstwo. Przykładów takich dostarcza codzienne życie. To kryzys jest winien, że panienka z oienka, ekspedientka, kierowca autobusu jest opryskliwy, że chleb jest z zakalcem, a dorsza nie udało się sprzedać, że wyroby wędliniarskie są niejadalne, że zakład oczyszczania miasta nie wywozi w porę śmieci i dozorca nie uprząta śniegu, że wagony kolejowe, przystanki autobusowe, automaty telefoniczne mają zbyt krótki żywot po zetknięciu się z temperamentem użytkowników, że lekarz może podejść do swoich pacjentów z całym sercem, z całą swoją wiedzą, lub traktować ich byle jak, jak zły urzędnik skargi ludności. To kryzys nakazuje sztafa społecznym groszem, rozkradać społeczne mienie, produkować buble, być arogantem i najwzkiejszym łobuzem. Kryzys dla wielu stał się wytrychem i zaklęciem.” (ZOFIA GRZYB, członek Biura Politycznego, brygadziarka produkcji w Radomskich Zakładach Przemysłu Skórzanego „Radokór”).

„Do rzadkości należą przypadki uszanowania członka partii, który reaguje na zło, wskazuje na draństwo. Kto bierze ich w obronę? Kto w końcu przyzna im rację? Często ci ludzie uchodzą za rozrabiaczy, nie-rzadko „poświęca się im uwagę” w komitetach partyjnych. [...] W dalszym ciągu występują zjawiska zasługujące na najostrejsze potępienie. Należy do nich: spekulacja, zerwanie na trudnościach gospodarczych, problemy nierobstwa, niegospodarności, marnotrawstwa, lekceważenia obowiązków, działania pozorowanego. Społeczeństwo oczekuje odpowiedzi na pytanie: kiedy będzie się opłacało obywatelowi socjalistycznemu kraju pracować w socjalistycznym zakładzie pracy, a nie praca u ajenta, czy też uprawianie prywaty?” (STANISŁAW OLCZAK, szlifierz w Reszelskich Zakładach Przemysłu Maszynowego „Rema”, I sekretarz KZ).

„W 90 proc. organizacjami partyjnymi w zakładach pracy kierują ludzie społecznie, wykonując jednocześnie swoje obowiązki zawodowe, ale niejednokrotnie odnosząc wrażenie, że wszędzie tam, gdzie działa partia, mamy działaczy na etatach. Wniosek ten wynika ze zbiurokratyzowania, jakie przyniósł do naszej partii. Realnym zagrożeniem jest, że ta ilość ankiet, opinii, sondażi i protokółów, jakie trzeba wykonywać na zlecenie instancji, przekształca nas z działaczy w biuro-

kratycznych urzędników. Uważam, że przewyciężenie tego problemu porwoli towarzyszym z instancji partyjnych częściej odpowiadać organizacje partyjne i, jeśli już istnieje tego typu potrzeba, tam zbierać dane do statystyki.” (STANISŁAW STOLARZ, I sekretarz KZ w Białostockiej Fabryce Mebli).

„W materiałach IX Zjazdu zanotowaliśmy, że zjazd opowiada się za rekonstrukcją i redukcją aparatu administracyjnego. Obecnie daje się zauważyć znaczną stagnację na tym odcinku. Jest to zjawisko niepokojące i nie powinno ująć uwadze partii i rządu.” (TADEUSZ WITOSŁAWSKI, główny mechanik w Zakładach Porcelany i Porcelitu w Chodzieży, woj. pilskie, członek KC PZPR).

„Przed IX Nadzwyczajnym Zjazdem wiele dyskutowano o sytuacji w rolnictwie. Przeważał pogląd, że rolnictwo uspołecznione w porównaniu z indywidualnym jest w pozycji uprzywilejowanej. Mówiono o stratach, dotacjach, marnotrawstwie. Wiele było w tych ocenach demagogii i uogólnień. Obecnie, jeśli nawet przyjąć, że w tamtych ocenach był pewien procent prawdy, sytuacja zmieniła się niemal diametralnie. Rolnictwo uspołecznione nie ma żadnych przywilejów, a nawet w wielu wypadkach pozostaje w sytuacji upośledzonej. Np. płacimy drożej za energię elektryczną, za węgiel i dostajemy go w gorszym gatunku. A naszym zdaniem osiągamy lepsze wyniki w produkcji roślinnej niż rolnictwo indywidualne.” (REGINA DRÓZDZ, prezes Zarządu Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej w Oszczeklinie, woj. kaliskie).

„Jeśli nauczyciel ma uczyć miłości ojczyzny, to czy możemy zwolnić historyków od zgodnej z prawdą historyczną interpretacji przeszłości, z opracowania podręczników? Czy akceptując humanizm — immanentną cechę filozofii marksistowskiej — możemy rozgrzeszyć telewizję, szokującą nas okrucieństwem, gwałtem, tekstami piosenek nie mającymi nic wspólnego z kulturą języka, propagującymi postawy nihilistyczne i naganne wzorce zachowania? [...] Od 40 lat nie wypracowaliśmy systemu kształcenia nauczycieli. Miotaliśmy się od liceów pedagogicznych, studiów nauczycielskich, państwowych wyższych szkół nauczycielskich do powszechnego wykształcenia na poziomie magisterskim. Dziś w szkołach uczą świeżo upieczeni maturzyści, bez elementarnej wiedzy metodycznej i pedagogicznej.” (RYSZARD SZWED, dyrektor i Liceum Ogólnokształcącego w Radomsku).

„Nie akceptujemy pobłażliwości władz wobec tego, co dzieje się na niektórych uczelniach i w niektórych środowiskach inteligencji. Zamiast dawać przykład, tam się brudzi, a dobre jest to, co jest złe dla socjalizmu i państwa. Moi współtowarzysze robotnicy dziwią się, że socjalistyczne państwo płaci tym, którzy mu jawnie szkoda. Zdaje mi się, że jest to tylko możliwe w Polsce.” (BOGDAN DOLATA, elektromonter w Pomorskich Zakładach Materiałów Izolacyjnych „Izotop” w Trzemesznie, I sekretarz OOP).

„Jeszcze żywe są doświadczenia lat 1980—1982, a już niektórzy towarzysze z instancji partyjnych i ci z wyboru i ci spośród pracowników etatowych, postępują po sobiepańsku. Są zarozumiali i nieufni, oczekują na splendory. Z tego rodzaju, choćby pojedynczymi, przypadkami partia musi zdecydowanie walczyć. [...] Jako nauczyciel nie mogę pominąć spraw oświatowych. [...] W 1986 roku szkoły podstawowe opuszcza pierwszy absolwenci, którzy uczyli się według nowych, zreformowanych programów. Logiczne jest, że do szkół ponadpodstawowych od września 1986 roku powinny być wprowadzone nowe programy nauczania i nowe podręczniki. Owszem, planuje się wprowadzenie pełnej reformy programowej w szkołach zawodowych, ale dopiero w roku 1991—1992.” (EDMUND DĄBROWSKI, nauczyciel, dyrektor Zespołu Szkół Budowlanych w Lublinie).

Przypominam: są to fragmenty wypowiedzi z pierwszego dnia obrad Wybrałem te najbardziej krytyczne, abyśmy — jak mówił Wojciech Jaruzelski — nie popadli w drzemkę, nie doznali upojenia sukcesami.

M. A. Jaworski

**S**WIATOWA powieść dotknęła strata: umarł Michał Szolochow. Może zdumiewać przymiotnik użyty w poprzednim zdaniu. Przecież w kontekście najważniejszych spraw pisarskich na świecie znalazł się ktoś, kto prawie całe życie przemieszczał w kozackiej stajni, a więc w jakimże oddaleniu od ruchliwych i hałaśliwych centrów kultury. Ten laureat Nobla mógł o sobie powiedzieć, że jest pisarzem prowincjonalnym: na 79 lat życia tylko kilka przeżył poza miejscem urodzenia w stajni Wieszeńskiej (dziś w obwodzie rostowskim).

Urodził się 24 maja 1905 roku jako syn Rosjanina i Kozaczki. Miejsce urodzenia tak zaciężyło na jego pisarstwie, że właściwie cały czas był heroldem jednego tematu, wyrazicielem spraw związanych z ziemią rodzinną. Do mało kogo jak do niego odnosiło się powiedzenie Goethego o potrzebie pójścia do ojczyzny twórcy, jeśli się chce jego twórczość zrozumieć.

Ten pociąg w stronę dzieciństwa był zdumiewająco silny. Silniejszy nawet od chęci znalezienia się w żywym nurcie spraw, tak przecież rozumiał w młodym wieku, tak naturalnej u kogoś, kto rozpoczyna ambitny życiowy start i chce „z tym światem wziąć się za bary”. Szolochow nie zrezygnował z młodzieńczej pasji, ale znamienne: po krótkim epizodzie literackiego udanego debiutu w gazecie „Junoszeskaja prawda”, po trzyletniej (1925 — 1928) przynależności do Rosyjskiej Asocjacji Pisarzy Proletariackich (RAPP) już jako 21-letni młodzieniec osiadł w stajni Wieszeńskiej na stałe. Kto mógł przypuścić, że właśnie z kozackiej wsi wyjdzie ten puls twórczości, który znajdzie się w kontekście najwybitniejszych dokonania światowej prozy swojego czasu.

Już w tym czasie — znamienne: 21 lat i od razu proza, żadnych „poetyckich błędów młodości” w karierze pisarskiej — wyszedł tom „Opowiadania znanego Donu”, który zyskał uznanie krytyki udanym realistycznym obrazem życia Kozaków w Rosji carskiej, później — w rewolucyjnej. Szczególnie — jednemu z okresu RAPP-u Szolochow pozostał zdecydowanie wierny: opozycji wobec awangardy i wobec pseudo-awangardowych mistyfikacji mających na celu spowodować wrażenie nowości, oryginalności, ciekawych poszukiwań formalnych. Ten świetny pisarz znał wartość prostoty, ani stronica jego dzieła nie da podstaw do

podważenia o udawanie, przystrajanie się w piórka formalnych zalet kosztem prawdy.

I co jeszcze ze szczególnym zdumieniem należy dodać: literatura światowa zna kilku młodzieńców, którzy znaleźli się w jej historii. Trzeba by tu wymienić nazwisko Rimbauda, który w wieku dziewiętnastu lat z nią się rozstał, nazwisko Shelleya, który zmarł, mając lat trzydzieści. Można dodać jeszcze polskiego Jana Lechonia. Ale to są poeci. Natomiast prozaikom rzadko zdarzało się być młodymi. Szczególnym wyjątkiem zapisał się Raymond Radiguet, który w wieku lat dwudziestu jeden został autorem uznanego arcydzieła „Bal u hrabiego d'Orgel”. Tak, ale pierwsze dwa tomy tego obszernego eposu, jakim jest „Cichy Don”, powstały w roku 1928, a więc kiedy autor miał wszystkiego dwadzieścia trzy lata!

z zachowaniem perspektywy, która w latach powstania tej powieści jeszcze nie była wystarczająco wyklarowana i przyjęta powszechnie. Na tym polega wartość wielkiej epiki.

Jeszcze „Cichy Don” nie został skończony, a już powstał zamysł „Zoranego ugoru”. Jest właściwością Szolochowego pisarstwa, że zamysł rodził zamysł. Nie inaczej można być wielkim realistą. Należało przedstawić obraz rzeczywistości po zwycięstwie rewolucji, dopisać dalszy ciąg „losów ludzi”, którzy w zwycięstwo socjalistycznej idei włożyli tyle osobistego zaangażowania i szansę swojego życia. Tylko znów — jak poprzednio — utwór nie rozwija się na zasadzie schematyzmu i ułtawiających formulek. Nasuwa się tu podobieństwo z Balzakiem. Autor „Komedii ludzkiej” oświadczył, że pisze w blasku religii i monarchii, ale reali-

## EPIK KOZACKI

Zygmunt Mikulski

Co zdumiewa w „Cichym Donie”? Właśnie to, że opowieść o właściwie kontrrewolucyjnych perypetiach dońskiego kozactwa w sumie zapisuje się na rzecz rewolucyjnej idei, a niczego nie umiemy humanizacji i moralności ludzi, którzy do władzy ludowej akcesu od razu nie zgłosili. Georgij Melechow mimo politycznych pomyłek nie przestaje być postacią ludzko-przekonującą, nie jest argumentem przeciw słuszności przemian historycznych w Rosji lat 1914—1922. Kto wie, czy nie on był późniejszym prototypem bohatera opowiadania „Los człowieka”, obrazującego zachowanie ludzkiej godności w warunkach, które stworzył hitlerizm, a więc idea antyhumanistyczna. Przecież Melechow poszedł do niemieckiego obozu koncentracyjnego, przecież tam zachował się po bolszewicku. A więc „Cichy Don” należy czytać

styczna siła jego pisarstwa zaprzeczyła jego uroczystej deklaracji. Tak i Szolochow aprobując słuszność ekonomicznych wniesionych przez rewolucję dokonana na wsi rosyjskiej nie zaniedbał racji strony przeciwnej dając wierny, a artystycznie jakże sugestywny obraz przeżyć, trosk i wątpliwości ludzkich w trudnym okresie kolektywizacji.

W czasie II wojny światowej Szolochow był korespondentem gazet „Prawda” i „Krasnaja Zwiezda”, rozpoczął pisanie powieści „Oni walczyli za Ojczyznę”. Ale znamienne jest to, że nigdy z sukcesów swojego pisarstwa nie chciał czerpać profitów osobistych. Ten pisarz właściwie ciągle uciekał przed cywilizacją. Dogoniła go ona nagrodą Nobla w roku 1965.

## Po białorusku

Artur Borkowski

**W** POLSCE są dwa licea ogólnokształcące z białoruskim językiem nauczania. Obie szkoły znajdują się w województwie białostockim, jedna w Hajnówce, druga w Bielsku Podlaskim.

Okazały, piętrowy budynek położony jest w samym „centrum” Bielska. Gromada maluchów, bawiących się na schodach prowadzących do środka, wprawia mnie w małe zakłopotanie: Liceum z dziesięciolatkami? Ale już za chwilę zagadka się wyjaśnia. Duże tablice informują, że tu swoją siedzibę ma Szkoła Podstawowa nr 3 oraz Liceum Ogólnokształcące im. B. Taraszkiewicza z Białoruskim Językiem Nauczania. Dwie szkoły w jednym budynku. To daje się odczuć po przejściu kilku metrów korytarza. Licealiści w skupieniu przeglądają notatki, ich młodszy koleżdy urządzają właśnie sprinterskie zawody. Gwar, hałas. Szkoła jak każda inna. Tylko te wizytówki na drzwiach sal lekcyjnych: wszędzie dwujęzyczne, po polsku i białorusku.

Moimi przewodniczkami są uczennice trzecich klas, Jolanta Zniwicz, Bogusia Krasowska i Elżbieta Rajewska. Wybrały te właśnie szkoły z dwóch powodów: są wyznania prawosławnego; chcą dostać się na studia. Potrzebny im jest kontakt z kulturą białoruską i wysokim poziomem nauczania, a wartość te szkoły gwarantuje — od bardzo dawna.

We wrześniu 1944 roku, tuż po wyzwoleniu miasta, na prośbę zamieszkałej tu ludności białoruskiej została utworzona szkoła stopnia średniego. Obecnie uczęszcza do niej blisko 300 osób z obszaru kilku województw wschodniej Polski, z małych miasteczek i wsi. Stamtąd, gdzie mówi się po białorusku lub specyficznymi dialektami. Pomieszanie białoruskiego, u-

kraińskiego i rosyjskiego w różnych proporcjach zależy od charakteru danej rodziny, stopnia jej związania tradycją lub dniem dzisiejszym z kulturą konkretnej republiki ZSRR.

W Szkole Podstawowej nr 3 języka białoruskiego dzieci uczą się od drugiej klasy. Idąc „na piętro”, czyli do liceum, nie mają tam większych kłopotów. Dom i siedem lat nauki to solidne podstawy. Dziewczęta wybrały różne profile nauczania: Ela — biologiczno-chemiczny, Bogusia — matematyczno-fizyczny, Jola — podstawowy. Wszystkie uczą się białoruskiego, cztery godziny w tygodniu. Część uczniów traktuje te zajęcia jako spotkanie z językiem ojczystym, część tak samo jak wykładany w szkole niemiecki czy rosyjski (polski jest językiem nauczania wszystkich innych przedmiotów). Są jeszcze lekcje dodatkowe dla tych, którzy nie uczyli się białoruskiego w podstawówce. Słowem, zajęła cała masa, ale nikt jakoś nie narzeka. Bo lekcje ciekawe prowadzone w pięknie wyposażonych pracowniach i gabinetach, przez dobrych nauczycieli.

Do „naszej” czwórki dołącza dyrektor szkoły, Aleksy Karpiuk. Podobno jest despotyczny, a zarazem podziwiany za to, co zrobił i robi. Gdy w latach 1979—80 szkoła miała tylko dwie pierwsze klasy, zwrócił się o pomoc do kuratorium, by zmienić tę niekorzystną, z dydaktycznego punktu widzenia, sytuację. Nieustannie zabiega o rozbudowę placówki. Po kilku chudych latach zainteresowanie białoruskim wzrosło i szkoła pęka w szwach. Kłopotów jest zresztą więcej. Brakuje podręczników; trudno dostosować przysyłane ze Związku Radzieckiego do obowiązującego programu, a nas nie stać na drukowanie takich książek dla kilkudziesięciu uczniów.



Fot. Archiwum

Korytarze zdobia efektowne gabloty. Można z nich poznać historię szkoły i dowiedzieć się, czym żyje na co dzień Jej patron, Bronisław Taraszkiewicz, to dość znany przywódca białoruskiego ruchu narodowo-wyzwoleńczego, publicysta, tłumacz, filolog. Dziewczęta z nie ukrywaną dumą mówią, że to właśnie on jest autorem pierwszej gramatyki białoruskiej, spod jego pióra wyszły m.in. przekłady fragmentów „Iliady” i „Pana Tadeusza”. W szkole działa wiele kół zainteresowań. Poza spotykaniemi wszędzie są też specyficzne charakterystyczne tylko dla bielskiego „ogólniaka”. Kół miłośników literatury białoruskiej skupia młodych poetów i prozaików, piszących po białorusku i ukraińsku. Ich koleżanki i koleżdy postanowili szerzej zająć się kulturą przygranicznej republiki. Czytają regularnie, wydawany w Białymstoku, tygodnik społeczno-kulturalny „Niwa”, a także „Białorus” — miesięcznik otrzymywany z Mińska. Kontakty, jakie utrzymuje szkoła ze stolicą republiki, są bardzo żywe. Polscy nauczyciele wyjeżdżają tam podnosić swoje kwalifikacje, wybitni pisarze i poeci naszych wschodnich sąsiadów chętnie zaglądają do Bielska. Wieczornice z pięknym słowem i melodyjnymi, ciepłymi piosenkami odbywają się co kilka tygodni. Natomiast raz w roku młodzież organizuje konkurs recytatorski. Deklamowane w języku białoruskim utwory opisują m.in. różne wartości przyjaźni polsko-radzieckiej. Chętnych do udziału w tej imprezie jest zawsze wielu.

W Bielsku Podlaskim działa Białoruskie Towarzystwo Kulturalne. Gros młodzieży liceum to jego aktywni członkowie. Wiele imprez organizowanych jest wspólnie, ale częste wizyty w teatrach, kinach, filharmoniach miast wojewódzkich może zapisać szkoła tylko na własne konto.

Najwspanialszą wizytówką szkoły są jednak „olimpijczycy”. Aleksy Karpiuk pokazuje mi bogato ilustrowaną kronikę: w latach 1977—1983 liceum „dorobiło” się 43 uczestników zawodów centralnych, w tym siedmiu laureatów. To bardzo dużo, biorąc pod uwagę małe miasteczko i wynikające z tego faktu częste kompleksy. Innym bodźcem, pozwalającym uwierzyć w siebie i szkołę, są dla uczniów wyniki egzaminów wstępnych na wyższe uczelnie. Absolwenci z Taraszkiewicza” w zdecydowanej większości zostają studentami. Sporo trafia na filologię białoruską; wysoki poziom egzaminu maturalnego z języka białoruskiego (ustny i pisemny) daje po prostu in-deks.

Szkoła nie ma kłopotów z kadra. Wiele osób po studiach wraca w rodzinne strony, inni przychodzą z małych, wiejskich szkół. Wszyscy czują potrzebę kontaktu z kulturą, językiem, z tym wszystkim, co ich otaczało od najmłodszych lat. Uczennice mówią, że liceum jest dla nich drugim domem, poprzez który mają stały zwizek z przeszłością. Uczą się o Białorusi, o ZSRR, bo tego chcą.

# Charyzma Władysława Gomułki

Dokończenie ze str. 1

niezmiernie szybko ogromną popularność, która w niedługim czasie miała się przekształcić w rolę charyzmatycznego przywódcy. Na starcie nowego okresu popularność Władysława opierała się na jego przeszłości. Nie tylko nie ponosił on żadnej odpowiedzialności za okres błędów i wypaczeń, ale był nawet jego ofiarą. Wyeliminowanie go z życia politycznego na podstawie oskarżenia o odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne było nie tylko cezurą w rozwoju PRL, ale i olbrzymim atakiem osobistym —

## Władysław stał się symbolem

Współczesnej przeszłości poprzedzającej okres błędów i wypaczeń, okupacyjnej przeszłości PPR i kompromisowej polityki pierwszych lat powojennych. Ostra krytyka minionego okresu zawarta w przemówieniu na VIII Plenum, odpowiadała w pełni oczekiwaniom społeczeństwa i na nią przede wszystkim zwracano uwagę. O pełnym już sukcesie zdecydowały rozmowy z delegacją radziecką w dniu 20 października i wyniki późniejszej podróży do Moskwy. Nie bez racji społeczeństwo uważało te dwa osiągnięcia za osobistą zasługę Gomułki, który na tym etapie, jeśli tak można powiedzieć, zdemontował podstawowe cechy swojej osobowości: siłę charakteru i poczucie godności narodowej. W następnych tygodniach Władysław skoncentrował się głównie na nawiązywaniu bezpośrednich kontaktów z klasą robotniczą, przyjmując niezliczone delegacje. To temu przypisywano — znów nie bez pewnej racji — takie szczęśliwe decyzje, jak ustawa o samorządzie robotniczym, wycofanie wojska i więźniów z kopalń, zniesienie niedzielnej pracy górników, podwyżki płac i tolerowanie rozwiązywania się spółdzielni produkcyjnych. Na tle tych wszystkich czynników szybko wyrosła charyzmatyczna postać Władysława, która miała trwać aż do drugiej połowy lat sześćdziesiątych.

Czym jest charyzmat przywódcy politycznego, czym różni się od zwykłej popularności i czym różni się od innego typu rządów osobistych? Nie są mi znane naukowe analizy tego zjawiska, ale sądzę, że różni się ono z pewnością od zwykłej popularności i oczekiwań społeczeństwa. Władysław Gomułka cechowała niewątpliwie wielka siła charakteru i wierność podstawowym dla niego wartościom socjalizmu i interesu narodowego [...] Gomułka nie był, jak to się zdarza wielu intelektualistom, rozdzielany wątpliwościami co do swoich własnych koncepcji. Jasne jest, że w jego charakterze tkwiło coś, co zbliżało go niekiedy, ale bynajmniej nie zawsze, do doktrynerów, ale był w nim przede wszystkim element siły przekonania, sugestijnej nie tylko dla tych, którzy mieli z nim bezpośredni kontakt. Dzięki temu nikt nigdy nie poddał w wątpliwość autentyczności Władysława. Dla społeczeństwa, zmęczonego i zniechęconego zawiłymi meandrami poprzedniego okresu, była to ogromna wartość nawet wtedy, kiedy konkretne stanowisko Władysława nie przypadło do gustu tej lub innej grupie społecznej czy temu lub innemu odłamowi w partii. [...]

Skromność i ascetyzm osobisty Gomułki były też niemalym czynnikiem jego popularności w okresie, kiedy narzucała się konieczność działań antyinflacyjnych. W pamięci społecznej przetrwało niezbyt korzystne wspom-

nienie Władysława Gomułki jako mówcy. Nie był on uzdolnionym oratorem, ale jego przemówienia dopiero w późniejszym okresie i przede wszystkim w środowisku inteligentnym odbierane były negatywnie. Śmiem twierdzić natomiast, że ich pedagogiczny ton był przez znaczną część nowej klasy robotniczej przyjmowany pozytywnie, że były one zrozumiałe i dla środowiska nawet mniej wyrobionego — przekonująco. W sumie na takiego właśnie przywódcę w tym właśnie okresie istniało zapotrzebowanie społeczne. W tym tkwił drugi podstawowy element charyzmatu Władysława.

Istotną cechą charyzmatycznej postępy przywódcy jest przetrwanie na niego odpowiedzialności i prawa decyzji. W pewnych granicach jest to zjawisko wysoce użyteczne politycznie, ale po ich przekroczeniu równa się ono abdykacji społeczeństwa, rezygnacji ze współdziałania w kierowaniu losami kraju i z prawa do krytyki [...] Zjawisko, które nazwałbym abdykacją społeczną, jest zawsze niebezpieczne, ale jego ujemne strony pogłębiły się zwłaszcza wówczas, gdy wobec dominującej roli Władysława brak postaw krytycznych stanowił zagrożenie dla skali i tempa reform. Jeśli bowiem sprzeciwiam się uważaniu Władysława za dogmatyka, to muszę przyznać, że był on reformatorem z musu, a nie z instynktu i potrzeb intelektualnych. Tym samym żył nieufność w stosunku do nowych projektów reform i nie sprzyjał koncepcjom zmierzającym do systematycznych generalizujących rozwiązań. Przekonać go można było tylko pragmatycznymi argumentami na rzecz danego posunięcia.

Mój osobisty stosunek do Władysława Gomułki jako czołowej postaci politycznej był i pozostał przez długi czas nieco ambiwalentny, z przewagą jednak dalekiego zaufania. Fakt, że byłem zaskoczony, iż to właśnie jemu przypadła czołowa rola w procesie reform i demokratyzacji. Z pierwszych lat powojennych zachowałem wspomnienie o nim jako o człowieku apodyktycznym, trudnym we współpracy i pilnie strzegącym swojej pozycji [...] Równocześnie jednak widziałem w Władysławie człowieka dużego formatu, o niezwykłym wprost poczuciu odpowiedzialności. Jego stosunek do socjalizmu był nie tylko postawą intelektualną, lecz i moralną. Duże wrażenie zrobiła na mnie jego postawa w okresie zarzutów o odchylenie nacjonalistyczne — prawicowe — pełna godność i odwagi oraz czegoś spokrewnionego z pokorą „chrześcijańską”, z gotowością uznania, że mógł popełnić błędy, mimo że nie został przekonany o ich popełnieniu. Sądziłem że sylwetka reformatora, choć nieoczekiwana, nie była produktem gry taktycznej, że wynikała z jakichś zmian, które nastąpiły w okresie odsunięcia go od działalności politycznej, lub z jakichś cech, które nie uwidoczniły się w latach poprzednich. Tak miałem sądzić przez pewien okres czasu. [...]

Do roku 1960, który przyjąłem jako cezurę, wpływ Gomułki na politykę gospodarczą był ogromny, ale po tym roku stał się całkowicie determinujący. Wyraziło się to nie tylko w dokonanych wyborach celów, ale w sposobie władzy, a nazywając rzeczy po imieniu — w jak najdalej posuniętej centralizacji decyzji na szczeblu Biura Politycznego, a praktycznie biorąc, i sekretarza. Nie znalazłem z bliska okresu 6-letni ale Eugeniusz Szyr, który przejął przewodnictwo Komisji Planowania po Hilarym Mincu, powiedział mi, że podobnego stopnia centralizacji nigdy poprzednio nie było. Gomułka rezerwowo sobie osobiście decyzje dotyczące spraw w istocie rzeczy fragmentarycznych czy marginesowych: podwyżki płac dla niewielkich parooobowych grup, korzystania z kw.

funduszu dewizowego nawet w najskromniejszej skali, zaciągania kredytów itp. W tej ostatniej sprawie zajmował zresztą stanowisko całkowicie negatywne. Dzięki ewolucji polityki amerykańskiej, jaka dokonała się w tym okresie, wysoki poziom kredytów na import zbroi i pasz na bardzo korzystnych warunkach, bo w skrajnym wypadku ze spłatą w złotychkach. Stąd zrodziła się wówczas koncepcja tzw. polityki duńskiej, to znaczy importu pasz w celu eksportu mięsa, co w owym czasie było operacją wysoce rentowną. O celowości tej operacji przekonałem ministra rolnictwa Edwarda Ochabę, ale trafiałem na zaporę w osobie Gomułki, który oświadczył mi, że zboże nie jest takim samym towarem jak inne, trzeba je mieć własne. [...]

## Efekt polityki

W latach sześćdziesiątych można ocenić z dwóch punktów widzenia: jednym z nich jest spadek, jaki Gomułka pozostawił swoim następcom, drugi — czym polityka ta była dla ludzi żyjących w owych latach. Z pierwszego punktu widzenia sprawa nie wygląda źle. Lata sześćdziesiąte nie tylko nie pozostawiły znaczącego zadłużenia, ale nawet skromniutkie rezerwy dewizowe. Mimo połowiczności rozwiązań polityki rolnej wystąpiło wyraźne ożywienie produkcji żywności, pojawiło się szereg nowych pozycji w przemyśle: elektrycznym, elektronicznym, chemicznym, a nawet wydobywczym. Tempo wzrostu dochodu narodowego nie było złe, podobnie jak tempo wzrostu eksportu. Ale tego rodzaju ocena, która jest właściwie oceną statystyczną, a nie ekonomiczną, a tym bardziej nie polityką, pozostawiała w rosnącej rozbieżności z odczuciami społecznymi. Ta rosnąca niezbieżność była gromadzeniem dynamitu, który miał wybuchnąć w 1970 r.

Kiedy polityk, zwiadcza dużej miary, popełnia błędy i przy nich oblatuje, to rodzi się pytanie, dlaczego tak się dzieje? Czyżby o tym nie wiedział? Nie ma prostej odpowiedzi na te pytania. Z pewnością sposób wykonywania władzy, a w szczególności całkowite powstrzymanie się od cenzury i aparatu od krytyki, sprzyjały niewiedzy rządzącego.

Ostatnie dwa lata okresu gomułkowskiego przeżyłem za granicą, toteż nie mam pewności, czy się nie mylę, przypuszczając, że po roku 1968 Gomułka zaczął odkrywać swoje błędy. Jednak nie podważało to jego przekonania, że w zasadzie miał słusność. To poczucie słusności brzo się z kilku źródeł. Jednym z nich (nie najważniejszym) były niedostatki wiedzy ekonomicznej, sprawiające, że nie miał on zrozumienia dla procesów pieniężnych i rynkowych (włącznie z opacznymi przezeń rozumianą inflacją) i że — nie on jeden tylko — widział mechanizmy ekonomiczne w sposób uproszczony. Ale ważniejszym, jak sądzę, czynnikiem było to, że prowadzona przez politykę była zgodna z jego wartościowaniem, z najgłębiej zakorzenioną postawą. Na pewno Gomułka miał większe wyczucie problemu rolnictwa niż inni działacze ruchu robotniczego, niemniej postęp uprzemysłowienia pozostawał dla niego głównym źródłem drogi do lepszego jutra. A widział go jako postęp ilościowy, a nie — jako spełnianie wymogi efektywności. Nie nie wskazuje ponadto, aby miał jakiegokolwiek wątpliwości co do systemu nakazowo - rozdzielczego, który przecież dawał centralnej władzy prawo dokonywania podstawowych wyborów. Takim wyborem był priorytet wzrostu zatrudnienia w stosunku do sprawy stopy życiowej. Postawa ta była głęboko związana z biografią i osobowością Władysława Gomułki. Należeliśmy do tego samego pokolenia (byłem o rok starszy). Dla ludzi, którzy dożyli przed drugą wojną światową i umieli poczuć na rzeczywistość, sprawa przedłużenia wsi była prawdziwą obsesją i tym samym zadaniem jego zmniejszenia urastało do problemu o zasadniczym znaczeniu. Nie jest przypadkiem, że w tablicach prognozytycznych stanowiących załącznik do planu trzyletniego tablicca numer 1 była poświęcona tej sprawie. Różnica między stanowiskiem Gomułki a moim polegała na tym, że zgodnie z jego usposobieniem trwał on na raz zajętej pozycji, gdy ja miałem świadomość, że w latach sześćdziesiątych przyszedł czas na jej zrewidowanie.

Nieco inaczej było ze sprawą spotytycia. Mieliśmy wprowadzić z Władysławem podobne wspomnienia z przedwojennej i powojennej nędzy, ale u niego dochodził do głosu jeszcze osobisty ascetyzm.

## Ascetyzm

który wyrażał się w skromnym mieszkaniu, w niechęci do elegancji osobistej. Jest prawdą, że sprzeciwiał się on kupowaniu dlań nowego krawata, a kiedy na prośbę pani Gomułkowej, któryś z urzędników zakupił mu krawat, Gomułka zwracał pieniądze pytając: „Czy nie było tańszego?” Klasyycznym „argumentem” Władysława przy rozważaniu takich problemów, jak spotytycie mięsa, a tym bardziej produkcja samochodów, było powiedzenie: „Na to nas nie stać”. Od dawna byłem za sterowaniem spożycia przez obciążanie artykułów wyższych rzędów, ale oczywiście nie godziłem się ze stawianiem sztywnych i przypadkowych barier dzielących dobra ekonomiczne, na które nas stać i nie stać. A przecież byłem bliższy postawie Gomułki niż młodzi technicy i młodzi wykwalifikowani robotnicy. Gdyby przynajmniej obok sprzeciwów wobec motoryzacji przyjęto zwiększenie wysiłku na rzecz budownictwa mieszkaniowego, ale i w tej sprawie Władysław usiłował narzucić społeczeństwu swój własny ascetyzm.

Na tym tle kształtowała się ewolucja mego stosunku do Władysława Gomułki jako przywódcy o decydującej roli. Moje odczucia były ambiwalentne w tym sensie, że po dzień dzisiejszy zachowałem szacunek dla wybitnej indywidualności Władysława, równocześnie jednak traciłem zaufanie do prowadzonej przez niego polityki. [...]

W dalszym etapie do rozczarowania polityką gospodarczą dołączyły się jeszcze inne momenty. W jakimś czasie po październikowym plenum Gomułka rozpoczął proces „obcinania skrzydeł”. Jego koncepcja partii coraz wyraźniej stawała się koncepcją tradycyjną.

## Pragnął partii monolitycznej

nie tolerującej odchylenia ani różnic zdań. Zbyt mało wiedziałem o tym, co się dzieje w PZPR, aby móc rozszyfrować motywy działania i sekretarza i znaleźć klucz do zmian personalnych. Nie mogłem się jednak oprzeć wrażeniu, że jeśli chodzi o poziom intelektualny, były to zmiany na gorsze. W konsekwencji Gomułka skupiał wokół siebie coraz węższą grupę osób ściśle związanych, żeby nie powiedzieć zależnych od I sekretarza. Dwa niebezpieczeństwa tego procesu dostrzegalem, trzeciego nie przewidywałem, ale miało się ono zmaterializować w roku 1965. Obcinając skrzydła Władysław nie zapobiegł powstaniu nowej, trzeciej tendencji, z którą musiał paktować sam, z braku sojuszników, i w warunkach malejącego poparcia społecznego. [...]

Dotychczas widziałem głównie nacisk na ogólniejszą problematykę wpływającą na ewolucję mego stosunku do Władysława Gomułki, ale przecież zawsze wchodzi w grę także

## elementy czysto osobiste

o których nie miałbym teraz wspomnieć. Jeden z nich to sprawa skuteczności działania i niekompromisu. W jakimś momencie sądziłem, że skuteczność tę można zwiększyć wstępując do partii. W niedługim czasie stwierdziłem, że to nieporozumienie; jako bezpartyjny byłem traktowany na równi, a nie lepiej niż partyjni, zaś sprawa skuteczności sprowadzała się jedynie do kwestii stosunku Gomułki do mojej osoby. Tuż po październiku mogłem usłyszeć, że obdarza mnie on pewnym zaufaniem, a w każdym razie miałem dość łatwy dostęp do niego. Z czasem sprawy uległy stopniowej zmianie, tak że zapytałem kiedyś jednego z bliskich współpracowników Władysława, czy przenosi on nieufność do mnie na nieufność do Rady Ekonomicznej, czy odwrotnie. Dostałem rozważną odpowiedź, że odpowiedź nie ma jedno sycilo drugie. [...]

Muszę lojalnie stwierdzić, że w porównaniu z innymi działaczami byłem traktowany z większą kurtuazją, ale pewnego dnia kurtuazja pękła. Rozmawialiśmy o polityce wobec inteligencji. Powiedziałem, że obok bata konieczna jest zawsze marchewka. Wywołało to wzburzenie Władysława i po chwili wstaliśmy obaj z foteli, podnosząc ton. Była to ostatnia moja wizyta u Władysława, nie dlatego że poczułem się szczególnie obrażony, ale po prostu uświadomiłem sobie że i ja zachowałem się niepoprawnie i że nie jestem pewien, czy potrafię tego uniknąć w razie jakiegokolwiek nowego krótkiego splecia.

(cdn.)

Czesław Bobrowski

# Lekarz - społecznik - literat - oryginał

Józef Marczuk

Rys. Józef Tarłowski

**P**RZED trzydziestu laty Miejska Rada Narodowa w Lublinie nadała ulicy Bonifraterskiej nazwę Mieczysława Biernackiego. Ten wielce zasłużony lekarz i społecznik należał bez wątpienia do grona najelegantszych i najbardziej wszechstronnych lublinian naszego stulecia. Barwność tej postaci dostrzegali nie tylko ludzie z jego najbliższego otoczenia i nie tylko przyjaciele, lecz nawet przeciwnicy. Najwięcej sympatyków Biernackiego wywodziło się spośród pacjentów szpitala Jana Bożego przy ulicy Bonifraterskiej, w którym przez blisko 60 lat był lekarzem; później dyrektorem.

„Należał dr Biernacki — pisze Wiktor Hahn — do najbardziej wziętych lekarzy lubelskich dzięki swej głębokiej wiedzy i serdecznemu stosunkowi do swych pacjentów. Dla chorych był nie tylko lekarzem, lecz prawdziwym przyjacielem, podnoszącym na duchu, dodającym odwagi w ciężkich chorobach. Był też jako lekarz w okresie całej swojej działalności [...] postacią świetlaną, w prawdziwym tego słowa znaczeniu — samarytaninem cierpiących, którym nie raz spieszył z pomocą finansową” (W. Hahn, „Roczniki Humanistyczne”, Lublin 1949).

Praktyka lekarska i badania nowych metod leczenia stanowiły tylko pewną część bogatej działalności doktora Biernackiego. Szerokie horyzonty jego zainteresowań obejmowały żywą i zarazem twórczą pracę społeczną, publicystyczną, literacką, a nawet polityczną. Pasjonował się muzyką i teatrem. Utrzymywał bliskie stosunki ze Stefanem Zeromskim, Aleksandrem Świętochowskim, Andrzejem Niemojewskim. Prowadził interesujące rozmowy z Henrykiem Sienkiewiczem.

Na ciekawy i oryginalny styl życia doktora Biernackiego zwróciła uwagę współpracująca z nim przez długie lata na niwie społecznej, Wanda Papiewska, dobrze znająca jego zalety i wady. Przytacza nawet kraczące o nim autentyczne anegdoty: „Był zaniedbany w ubraniu, nieporządny. Kiedyś ukazała się w Lublinie jego karykatura — wszystkie guziki u spodni były niezapięte. Śmiał się, ale powiedział: »zdarza się, że jednego guzika nie dopnę, ale żeby wszystkie trzy — to już przesada«”. „Kiedyś przez kilka tygodni — wspomina dalej Papiewska — męczyła mnie uporczywa egzema, gdy lekarze specjaliści nie pomogli, mąż poprosił dr. Biernackiego. Przyszedł — słyszę z drugiego pokoju rozmawiają o muzyce, doktor zaczyna coś przygrywać na fortepianie, inżynierze, pojechaliśmy do Warszawy, dają płytę symfonii Beethovena — a ja, wymęczona bezsennością i ścisłą dietą, czekam cierpliwie na jakąś pomoc. — Mąż w końcu przypomina mi, że go prosił do mnie. — Aha, co to, żona chora? Przyszedł do mnie, rękami, które przy najlepszych chęciach trudno no by nazwać czystymi — przejechał mi po twarzy — tak, tak, egzema, to taka choroba, o której nigdy nie wiadomo, co ją wywołało i co jej pomoże. Wie pani, niedawno jeden pacjent powiesił mi się przez egzemę. Tak mnie pocieszył, gdy byłam już na granicy wytrzymałości nerwowej. Ale mi pomógł! W przeciągu trzech dni byłam zupełnie zdrowa” (W. Hempel-Papiewska, „Wspomnienia bezpartyjnej”, maszynopis, Lublin 1956).

A oto jak w innym miejscu określa Papiewska osobowość lekarza jako intelektualisty, biorącego czynny udział w życiu towarzyskim: „W życiu umysłowym Lublina odegrał dr Biernacki wybitną rolę. Jego charakterystyczna postać, ciężka, z dużą głową o rzad-

kich, zawsze rozwierzonych włosach, powszechnie była znana. Siadywał często w cukierni Rutkowskiego (dzisiaj „Lublinianka”), pił kawę czarną, do której wrzucał duże ilości czekoladek, i prowadził dowcipne rozmowy, ostro nieraz przygadując politycznemu przeciwnikowi. Raz mąż mój przysiadł się do niego w cukierni, a doktor zaraz pyta o mnie.

— Zazębiona została w domu — odpowiedział. Na to dr Biernacki na cały głos woła: „Co to, panie Franciszku, wierzy pan w przezębienie? To może pan i w Pana Boga wierzy?”

Czy Mieczysław Biernacki był rodowitym lublinianinem? Otóż nie. Dzieciństwo spędził w Głęczynie nad Prosną koło Kalisza, gdzie urodził się w 1862 r. Gimnazjum ukończył w Ostrowie Wielkopolskim, a następnie odbył studia na wydziale medycznym w Berlinie. Prowadził tam działalność społeczną w Stowarzyszeniu Polskich Studentów, będąc jego prezesem. Po obronieniu pracy doktorskiej w Uniwersytecie w Dorpacie rozpoczął praktykę w Lublinie w 1889 r. Wkrótce został ordynatorem szpitala Jana Bożego, zaś w roku 1903 naczelnym lekarzem tegoż szpitala.

Praca na tym stanowisku dawała mu wiele satysfakcji, starał się gorliwie o rozwój szpitala, lecz jej początki oceniał jako trudne. „Posłaliśmy — wspomina Biernacki — na naszym terenie tylko jeden barak z pruskiego muru, wystawiony w roku 1893 dla chorych cholerycznych. Tam umieszczać byliśmy zmuszeni wszystkie choroby zakaźne, wspólnie na dwu salach. Rezultat był łatwy do przewidzenia. Każdy, kto się dostał do tego baru, przechodził mógł wszystkie w danym momencie tam znajdujące się choroby. Odpowiednia presja na gubernatora miała skutek dodatni. Za pieniądze miasta wybudowano w szpitalu kamerę dezynfekcyjną, a za podatek od widowisk — pawilon nowoczesny dla chorób zakaźnych” („Kurier Lubelski” nr 193 z 15 lipca 1932).

Doktor Biernacki, biorący nieprzerwanie udział w pracach społecznych, był doskonałym łącznikiem między szpitalem i władzami miejskimi, zabiegającym o leczenie chorych. Szpital odgrywał szczególną rolę w zwalczaniu epidemii chorób zakaźnych. Podczas pierwszej wojny światowej i okupacji austriackiej nasiliły się w Lublinie takie choroby, jak: cholera, tyfus plamisty, dżynteria i hiszpanka, wymagające szczególnej troski. Jednocześnie z frontu przybywało coraz więcej rannych. Operował ich dr Biernacki przy pomocy studentów i przypadkowych lekarzy ewakuowanych z innych terenów. Działo się tak dlatego, że lekarze ze szpitala św. Jana zostali zmobilizowani do wojska.

Odradzający się stopniowo samorząd miejski w Lublinie, przejmujący władzę administracyjną od Austriaków w ręce polskie, wykorzystał energię i wiedzę Biernackiego. Miejski Komitet Obywatelski w 1915 r. powołał go do Tymczasowej Rady Miejskiej. Natomiast po wyborach samorządowych w 1918 r. Rada Miejska wybrała go na ławnika, odpowiedzialnego za sprawy zdrowotności mieszkańców. Wkrótce został naczelnikiem Wydziału Sanitarnego Magistratu, nie przerywając pracy w szpitalu.

Aż do ostatnich dni wojny szpital Jana Bożego przypominał jeszcze w znacznej mierze zakład dobroczynny, przeznaczony także dla nędzarzy, kalek i upośledzonych warstw społecznych miejskiego. Stopniowo jednak, zwłaszcza w pierwszych latach niepo-

dległości odzyskanej w 1918 r., w szpitalu tym przywracano zdrowie chorym w warunkach izolacji i oderwania ich od domu rodzinnego. W okresie międzywojennym czynne były oddziały: zakaźny, wewnętrzny, chirurgiczny, okulistyczny i gruźliczy, a do około 1930 r. także dla umysłowo chorych mężczyzn. Cały szpital dysponował blisko 240 łózkami.

Od momentu odzyskania niepodległości doktor Biernacki podjął usilne starania w Radzie Miejskiej i Magistracie o przejęcie szpitala Jana Bożego przez samorząd i prowadzenie go na koszt miasta. Z jego inicjatywy Rada Miejska podjęła kilka uchwał o „umiastowieniu” szpitala. Nie zostały one jednak zrealizowane mimo wielu interwencji u władz wojewódzkich. Prezydent miasta Czesław Szczepański, znany adwokat, zrzęcznie uzasadniał negatywne stanowisko brakiem środków finansowych, niezbędnych dla utrzymania biednego i zadłużonego szpitala. Spór trwał blisko dziesięć lat.

Doktor Biernacki nie dał jednak za wygraną. Zwrócił się do jednego z najlepszych swych przyjaciół po fachu, dr. Witolda Chodźki, ówczesnego ministra zdrowia. Wykorzystał dobre z nim „układy”, jak również jego sentyment do Lublina i do szpitala Jana Bożego, w którym obaj przez wiele lat wspólnie pracowali. Okoliczność sprzyjającą stanowił fakt, że dr Chodźko, jako zaufany Józefa Piłsudskiego, był jedynym „stałym” ministrem w kolejnych gabinetach lat dwudziestych. Początkowo i dr Chodźko nie mógł załatwić sprawy — dawał jednak szpitalowi subwencje z ministerialnej kasy. Gdy spór się przedłużał, ustanowił on nad lubelskimi szpitalami Tymczasową Radę Opiekunczą pod przewodnictwem wojewody Remiszewskiego, a jednocześnie mianował lekarzy naczelnymi kuratorami szpitali. Pozycja Biernackiego wzrosła. Poczuł się znacznie pewniej, gdy w 1927 roku wybrano go radnym miejskim. Uzyskał wówczas pełne poparcie dla swego wniosku ze strony socjalistycznej Rady Miejskiej, która podjęła uchwałę o przekazaniu szpitala Jana Bożego pod zarząd miasta. Faktyczne przejęcie tego szpitala przez Magistrat nastąpiło 1 czerwca 1928 r. Jego dyrektorem został dr Mieczysław Biernacki i pełnił tę funkcję do 1942 r., tzn. do momentu usunięcia go ze stanowiska przez władze niemieckie.

Dzięki niespożytej energii i pracowitości dr. Biernackiego oraz pomocy finansowej ze strony władz miejskich, w okresie dziesięciu lat dokonano gruntownej modernizacji szpitala miejskiego. Uporano się również ze spłatą długów (wynoszących w 1928 r. 160 tys. zł). Dbano o wysoki poziom personelu medycznego. Szpital był dostępny dla wszystkich wymagających leczenia, w tym również dla chorych spoza Lublina. Lekarstwa i materiały opatrunkowe dla ubogiej ludności wydawano bezpłatnie lub za minimalną opłatą.

Poważnym mankamentem szpitala miejskiego były powtarzające się targi pomiędzy pracownikami obsługi a dyrektorem Biernackim. Przyczyną ich tkwiły głównie w zbyt niskich płacach dla służby szpitalnej, nie przekraczających 35 zł miesięcznie. Gdy w roku 1935 Rada Szpitalna podjęła dalsze próby obniżenia tego uposażenia, pracownicy fizyczni szpitala zorganizowali strajk.

Doktor Biernacki już w pierwszym dziesięcioleciu naszego stulecia ogniaskował w swej osobie, pełnej temperamentu i przejrystej myśli, wiare-

w owocność zbiorowego wysiłku dla sprawy niepodległości Polski i lepszej przyszłości rodaków. Był przewodniczącym lubelskiego oddziału Polskiego Stronnictwa Postępowego. Wspólnie ze Stefanem Zeromskim w 1908 r. założył Towarzystwo Oświatowe „Światło”, które prowadziło akcję kulturalno-oświatową na terenie województwa lubelskiego. Organizowało szkoły powszechne, urządzało odczyty, wieczornice, a nawet teatry amatorskie. Również w roku 1908 dr Biernacki założył w Lublinie pismo postępowe „Kurier Lubelski”. Stał na czele jego komitetu redakcyjnego, pisząc jednocześnie artykuły wstępne i literackie, m.in. o Wyspiańskim, za które spadały często kary pieniężne, bądź były nawet wytaczane sprawy sądowe. Kary płacił zwykle sam Biernacki, czasami tylko do spółki z dr. Kazimierzem Jarczewskim. Redakcja „Kuriera” skupiała ludzi śmiałych i postępowych, jak: Jan Hempel, Oktawian Zagrobski, Witold Giełżyński, dr Paweł Jankowski, Wanda Papiewska.

Szczególne piętno na intelektualnym i literackim empii Biernackiego wywarli pisarze: Henryk Sienkiewicz i Stefan Zeromski. Pierwsze spotkanie z autorem „Quo vadis” w 1892 r. traktował Biernacki przez całe życie jako wielką przygodę. Miało ono zresztą charakter zupełnie przypadkowy. „Byłem wtenczas jeszcze bardzo młodym lekarzem — wspomina Biernacki — gdy dr Olechnowicz wezwał mnie do wspólnego leczenia chorego ojca Sienkiewicza, zamieszkałego u swej córki w Lublinie, przy ulicy Podwale Wobec niebezpieczeństwa zatelegrafowano o przyjazd syna, który właśnie niedawno wrócił z Afryki i drukował wtedy swe słynne „Listy”. Przy odwiedzinach chorego nie obeszło się naturalnie bez rozmów z wielkim pisarzem [...]. Był to wtedy mężczyzna w całej pełni rozkwitu i męskiej urody. Był skupiony w sobie, poważny, milczący, jednak gdy w dobrym nastroju zaczął mówić, opowiadał swobodnie, płynnie, cudownie. Opowiadania te były już pod względem formy tak opracowane i skrytalizowane, że niewiele różniły się od nowelek, które z tych opowiadań powstały” („Nowa Ziemia Lubelska” nr 293 z 26 października 1924).

Podczas jednej z rozmów Sienkiewicz z tak wielką uwagą obserwował dr. Władysława Olechnowicza, jako człowieka niezwykle ciekawego, że stworzył z niego później w powieści „Rodzina Polanieckich” niezrównaną postać profesora Waskowskiego. Obserwator i uczestnik rozmowy, dr Biernacki, dopiero po przeczytaniu powieści w 1895 r. znalazł rozwiązanie zagadki wnikliwej obserwacji dr. Olechnowicza przez autora powieści.

Swoje rozliczne kontakty, rozmowy i wspólne podróże ze Stefanem Zeromskim zawarł Biernacki w pięknej pracy: „Stefan Zeromski i jego ideologia” (Lublin 1926), w której pisał: „Umart naucejczytel o domach szkolnych dla polskiego ludu poprzez wszystkie zgrzyty »Przedwiośnia«”.

W latach okupacji hitlerowskiej dom Biernackiego przy ulicy 3-go Maja zajęli Niemcy. Od tego czasu mieszkał wraz z żoną w jednym pokoju przy szpitalu miejskim. Pozostał tam do końca swego życia jako czynny lekarz. Zmarł 30 sierpnia 1948 r. Grono przyjaciół i znajomych żegnało go jako wielkiego lekarza i społecznika w służbie postępu i demokracji.

# BRAT FIJOLA

Andrzej Gerłowski

LE razy zapragnął, odnajdował brata. Po prostu wiedział, gdzie go szukać. W ogródku piwiarni „Balbina”. Jego brat, Fijol — tak nazwali go koledzy — odszedł z domu. Powiedział rodzicom, kiedy opuszczał dom, że właśnie skończył osiemnaście lat, niech to sobie uprzytomnią, i chce sam odpowiadać za siebie.

Wszystko, co było mu potrzebne, Fijol zmieścił w dużym plecaku. W ręce trzymał gitarę. Jemu, Markowi, podarował fiński nóż.

— Pewno wyrosnie z ciebie grzeczny harcerz — powiedział. — Harcerze noszą finki.

Marek zrozumiał, że, zdaniem brata, to niedobrze być grzecznym harcerzem. — Ale — pomyślał — być niegrzecznym harcerzem też niedobrze. — Ucieszył się, że nie należy do harcerstwa.

Ojciec dopiero po tygodniu zapytał o Fijola. A przecież Fijol, odchodząc, i do niego mówił, nie tylko do matki. Ojciec obudził się trzeźwy w sobotę rano i zapytał. I kiedy matka powiedziała mu: — Artur opuścił nas — zaczął płakać.

Matka mówiła o ojcu do sąsiadek i do rodziny: — Dobry człowiek, tylko pije. Nawet pracuje, ale dorywczo. — Po namyśle dodawała: — Najakuratniej mieć nienormowany czas pracy, co?

— Widzisz — powiedziała matka do Marka — ojciec płacze. Ma dobre serce.

Ale on pomyślał, że ojciec zawsze miał dobre serce po całonocnym picu. Płakał z byle powodu. Matka przynosiła ojcu kilka litrów piwa w pojemniku, w którym zazwyczaj on, Marek, dzwigał ze sklepu warzywnego kwaszoną kapustę. I ojciec, już po wypiciu połowy piwa, przestawał płakać.

Chłopiec przelał niski plotek okalający piwiarnię „Balbina”. Jego brat siedział z innymi punkami w ogródku. Normalnie w ogródku miejsca dla całej swojej grupy znaleźć nie mogli. Ale teraz, kiedy były kłopoty z dostawami piwa i barman oferował wyłącznie napoje cytrusowe, zakątek opustoszał.

Fijol i jego kumple kupowali piwo w sklepach. Wypijali je na ulicy, a potem szli do ogródka. Fijol brzdąkał na gitarze, którą dostał dwa lata temu na urodziny. Ułożył melodię do słów Wojtka S. Spiewał:

*Marlboro papieros szpanerski  
Nie pal szwinstana do czorta  
Marlboro to full exclusive  
Prawdziwy punk pali Sporta.  
Ty się tu nie wykrecaj  
Jeśli nie lubisz braciszku  
Palic tytonia Made in Poland  
To idiotyczny kaprys palantia  
To twoja słaba zła wola*

Fijol miał krócej niż kiedykolwiek przycięte włosy. Wyjaśnił kiedyś jemu, Markowi: — Za krótkie klaki nie ucąpi cię przeciwnik.

Teraz brat musiał mieć wielu przeciwników, bo po co skrócić, i przedtem krótkie, włosy? Zanepokoił się Marek o brata. Także o to, czy mu nie za zimno. Fijol bowiem założył kamizelkę dzinsową na gołe ciało. Normalnie ludzie noszą koszulę lub coś, co je zastępuje.

Przy sąsiednim stoliku siedziała zgrabna dziewczyna, Suwnica. Nazwał ją tak Korkociąg, kumpel Fijola, ponieważ dziewczyna, jak zapewniał

Korkociąg, puściła się kiedyś z facetem ubranym w sztruksowe spodnie „Wildcat” i skórzaną kurteczkę. Puściła się ze szpanem. I to takim, który chodził ze skórzaną „pedalówką” w garści. Dziewczyna starała się zawsze znaleźć tam, gdzie i Fijol, ale ten ją lekcewał.

Fijol położył gitarę na ziemi obok krzesła. Spojrzał na niego, Marka.

— Co jest? — zapytał.

— Bezet, Fijol.

— Przyniosłeś coś.

— Dzisiaj nie. Matka mówi, żebyś wracał do domu.

Matka pracowała w hotelowej kuchni. Codziennie przynosiła do domu jedzenie. Wydzielała porcję dla Fijola.

— Więc? — Fijol nie zaszczylił dziewczyny spojrzeniem. — Co to za praca?

— Rozwożenie mleka.

— Hm... — Fijol uśmiechnął się. — Rzeczywiście nie wypada rzucić. Maluchy rano czekają na mleko.

— I kacownicy — dodała Suwnica. — Też muszą się napić.

— Powiedz jej — zwrócił się Fijol do Korkociąga — że ma dobre serce. Niechże, jak ta święta, wyciera włosami nogi kacownikom.

— Trudno będzie — odrzekła dziewczyna.

Miała włosy tak samo krótkie jak Fijol i Korkociąg. Fijol spurplewiał i do Korkociąga.



Fot. CAF — Edmund Uchymiak

On, Marek, zanosił ją bratu. Sprawiało mu to przyjemność. Ktoś starszy był zależny od niego. Ale dzisiaj matka zawiadła go, a on zawiódł Fijola.

— Sam nie zorganizowałeś sobie nie do żarcia? — zapytał.

— Powiedz Jareckiej — odparł Fijol — że nie musi kłopotać się o żarcie dla mnie.

Korkociąg, Suwnica, Fijol, ich kumple o swoich starych mówili: Jarecy. Fijol odłożył na chwilę papierosa, ale kiedy on, Marek, sięgnął po niego, dostał po łapie.

— Zostaw — powiedział Fijol — bo nie urośniesz.

Markowi wydawało się, że brat źle. Nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek widział brata bez papierosa. A przecież Fijol miał metr dziesięćdziesiąt wzrostu i szerokie bary. Brał w palec dwudziestozłotówkę i lamal ją. Oczywiście darowaną.

Przy stoliku usiadł facet w wiatrówce. Nie wyglądał ani na punka, ani na szpanera. Normalnie wyglądał. Powiedział do Fijola:

— Mam coś dla ciebie.

— Dawaj — Fijol wyciągnął rękę.

— Zabierz frajerską łapę — powiedział tamten facet dobrodusznie — bo mam coś, czego może nie weźmiesz.

Fijol oparł ręce na udach, ich lokcie zwrócił na zewnątrz. A jednak nie przypominał szykującego się do odlotu ptaka.

— Skąd pewność, braciszku, że nie wezmę?

— Bo to praca.

— Stała?

— Taka, której nie wypada rzucić.

— To coś nowego! — odezwała się Suwnica.

Fijol słuchał nieuważnie opowiadań punków. Nie włączył się do rozmowy. Nic dziwnego, był wśród nich najstarszy. Trzymał dystans. W pewnej chwili powiedział do Korkociąga:

— Dochodzi druga, spadamy.

On, Marek, odprowadził Fijola i Korkociąga do tego „mlecznego” biura. Potem udał się w stronę domu. W bramie natknął się na Suwnicę. Wyglądała na niego. Nie poczuł się z tego powodu ważny. Gdyby Suwnica nie miała tej plamy, o której mówił Korkociąg, to, rzecz jasna, inaczej ocenilby fakt, że na niego czekała.

— Co jest? — zapytał.

— Kochany, powiedz mi... — Objęła go ramieniem, ale wysliznął się, bo miał na uwadze tę plamę. — Powiedz mi, czy Fijol wziął tę pracę?

— Twoja broszka?

— Fijola, oczywiście, chciałabym jednak wiedzieć.

Milczał. — Co jej do tego? — pomyślał. — Fijol zawsze postępuje jak trzeba.

— Wziął, tak?

— Wziął.

— Och!...

Tylko tyle powiedziała Suwnica. Była ucieszona. Sięgnęła po papierosy. O mało nie poczęstowała go z tej wielkiej radości.

Wszedł do mieszkania. Matka jeszcze nie wróciła z pracy. Ojciec spał w dużym pokoju na dywanie. Próbowal ojca podnieść, ale zrezygnował. Po pierwsze, bo ojciec był duży i ciężki, po drugie, bo zszalał się przez sen i cuchnęło od niego okropnie. Fijol podnosił ojca bez trudu. Bez trudu też wywał za drzwi pana Henryka, który przystawiał się do matki. Zdaje się matka pozwalała panu Henrykowi na różne rzeczy. Nie podobalo się to, co robi ojciec, i co robia matka i pan Henryk. Pewno dlatego wyniósł się z domu. Miał dosyć swoich Jareckich. Tylko dlaczego, do cholery, zostawił jego, Marka? Postanowił rozmówić się z Fijolem.

Brata nie znalazł w ogródku. Zglądał tam codziennie przez dwa tygodnie. Wreszcie od Ochłapa dowiedział się, że Fijol śpi po całych dniach.

— Frajerską, nocną robotę dorwał — powiedział Ochłap. — W dzień kima. Mieszka na Wierzbowej dwa.

Poszedł na Wierzbową. Drzwi otworzył mu Fijol. Weszli do pokoju. Stały w nim dwa tapczany. Jeden dwuosobowy. Na tym tapczanie usiadł Fijol. Miał na sobie czystą koszulę, na nogach kaptcie. Zupełnie taki sam Fijol jak niegdyś, kiedy mieszkał razem z nim, Markiem, w jednym pokoju. Tylko teraz miał koszulę bardziej czystą.

Wyłuszczył Fijolowi, po co przyszedł.

— Nic z tego — powiedział brat — gdzie ja cię wezmę? Masz przy Jareckich wszystko, co ci niezbędne. Chatę, ciuchy, żarcie, masz telewizor. Jarecka nieźle zarabia, Jarecki też, kiedy pracuje, fachura, hydraulik. O co ci biega? O to, że spokoju nie masz? Jarecki to cichy pijaczek. Uderzył cię kiedy? A Jarecka z tym frajerem, że tak powiem, dyskretnie kręca. Gdzie ja cię wezmę? Wynajmujemy pokój do spółki z Korkociągiem i... Mniejsza z tym! — Fijol machnął ręką, że nie powinno nikogo obchodzić, z kim jeszcze on, Fijol, wynajmuje pokój. — Nie mogę cię wziąć do siebie, braciszku.

— Nie przyniosłem ci żarcia, Fijol.

— Nie ma sprawy. Zarabiam na żarcie. I nie tylko na żarcie.

— Czyje to? — Schylił się i podniósł damski, domowy pantofel.

— Co? — Fijol jakby się speszył. Wyjaśnił: — Suwnicy. Mieszka ze mną. Też pracuje.

— To już nie jesteście punkami? Tak ze wszystkim?

— Z tego się wyrasta, braciszku.

— Korkociąg mówił, że ona się puściła ze szpanerem.

— Nie ma sprawy. Nie była wtedy moją dziewczyną. — Po chwili Fijol dodał: — Korkociąg zmienia lokal. Będę tu tylko z nią.

— Weź mnie na jego miejsce.

— Twoje miejsce w domu. I w szkole.

— Jest jakieś inne wyjście. Fijol?

— Nie ma.

Przyszła Suwnica i udawała, że się cieszy z jego, Marka, odwiedzin. Powiedział im: — Cześć! — i poszedł.

Czuł, że powinien mieć pretensję do swoich Jareckich, ale chyba nie do Fijola.

Pan Heniek już będzie, jak przyjdę — pomyślał. — A może go nie będzie? Jak kupię matce bzu, to frajera nie będzie.

Kupił trzy gałązki bzu. Pachniały mocno. Niósł je pełen nadziei

**P**UNK to słowo angielskie. Według Wielkiego Słownika Angielsko-Polskiego, znaczy ono: „śmieć, zgnily, dziadowski”. W XVIII-wiecznej angielszczyźnie określano tak prostytutki. Czasem dodaje się też inne znaczenie: „przebrany, bez szansa”. Punkersi<sup>1)</sup> sami nadali sobie to obelżywe miano, chcąc uragać światu i społeczeństwu. Uragać zresztą nie tylko nazwa.

Pierwsze, co rzuca się w oczy, jest właśnie szokujący wygląd punków. Hippiesi, będący niedyspozycją mieszczańskich rodzin, na tle punków mogliby uchodzić za wzór elegancji i wykultury. Punk paraduje w brudnych, podartych szmatkach, wygląda jak wygrzebany ze śmietnika.

Zelaznym, niemal obowiązkowym elementem uniformu punk jest czarna

złowrogich i szokujących czy jednoznacznych, aby odciąć się od całego społeczeństwa, w tym także do pseudobuntowników, którzy w rzeczywistości są już częścią establishmentu.

Nietrudno zresztą zauważyć, że punkersi tworzyli swą ideologię i symbolikę w opozycji do wartości poprzedniej, hippiesowskiej fali młodzieżowego buntu, nieraz poprzez zwykłe odwrócenie. Przecistawiają więc długim włosom hippiesów — krótkie, kwiatom i paciorkom — łańcuchy i agrafki, hasłu „Peace and Love” — swoje „War and Hate”, pacyfizm — wpisane w koło „A”, nawet pozdrowieniu hippiesów „hej” (i rozcapierzoną literę „V” palcom) — punkowskie „oj” i zacisniętą pięść lub palec tworzące tzw. „widły”<sup>2)</sup>.

I oczywiście, „bierności hippiesów

ness), KRYZYS, PLUTON EGZEKUCYJNY, CI NAJGORSI (De Press), PRZEKLECI (Damned), ELEKTRYCZNY ORGAZM, PATOLOGIA CIAZY, DUSICIELE (Stranglers), czy ksywy punków: Zgnily Jasio (Johnny Rotten), Szalony Eryk (Reckless Eric), Rozpustny Sid (Sid Vicious), Zwierzę (Animal) czy Overanette (to nazwa pigulki antykoncepcyjnej). Dobrze oddają one treść ideologii, muzyki, ruchu punk.

To jednak nie błazenada i nie szczeniacki szpan, a w każdym razie — nie tylko to, nakazuje punkom nawlekać na siebie śmierzące łańcuchy i rozbić się na koncertach. Budzenie odrazy, wstrętu, wściekłości jest właśnie zamierzaniem punków. Jest konsekwencją ich nihilistycznej filozofii, bez której (jej pozytywna lub negatywna ocena to inna sprawa) nie można zro-

zumieli punków *total* jest nie tylko chorobliwy, okrutny i odrażający, ale i pożyty — nie sposób zmienić go czy obalić. Stąd pesymizm cechujący filozofię punków<sup>3)</sup>, w przeciwieństwie np. do ideologii hippiesowskiej. „No future!”. Wszelka działalność jest bezcelowa, w ogóle życie jest bezsensowne. Mimo młodego wieku punksi są już nim znużeni<sup>4)</sup>.

Punkowie po prostu pozbawieni są nadziei. W ich świecie nie ma Boga (BRAK śpiewa, że „...prawo oszukuje i kłamie religia”, podobne teksty ma choćby DEZERTER), nie wierzą w możliwość jakichkolwiek zmian, nie wierzą nawet w siebie, nie wierzą w ogóle w szczęście. Wiedzą, że szczęście to iluzja, dla której nie warto się oszukiwać: jedyną namiastką szczęścia może być zapomnienie, którego

# Dzieci - śmieci

Jarosław Łaniasiewicz

lub ciemnobrązowa skórzana kurtka, jak najbardziej sfatygowana, możliwie za duża, najlepiej „lotniczego” kroju i nabijana nitami. Od biedy zastąpić ją może przydługa marynarka z jakiejś workowej tkaniny. Pod kurtką nosi się podarte i poplamione koszulki. Wskazane jest, by garderoba była ozdobiona napisami: czy to hasłami („No future”, „Punks not dead”, „Fuck off”, „War and hate”), czy to nazwami ulubionych kapel.

Do tego spodnie moro. To element stosunkowo nowy; latem 1982 roku (np. na odwołanym Pop Session w Gdańsku) dominowały jeszcze zlachmanione, podarte, zbyt ciasne dżinsy, nadal zresztą bardzo popularne wśród szpunów; jesienią — wojskowe lub strażackie spodnie nosił każdy szanujący się punk.

Całości dopełnia swoista „biżuteria punkowa”: tzw. „pieszczochy”, czyli nabijane „ćwiekami” (nitami) skórzane opaski i obroże, ciemne okulary, za którymi punksi ukrywają oczy oraz kolczyki, długie łańcuchy, zyletki. I oczywiście odznaki, mnóstwo odznak, czy to punkrockowych zespołów, czy to oznajmiających, że np. „I am mess”. A przede wszystkim znak rozpoznawczy punków — agrafki, którymi żarliwi uczestnicy ruchu przekluwają sobie nawet uszy, wargi, nosy, policzki.

Równie jak ubiór ważna jest fryzura. Gdy w połowie lat 70-tych punkersi wypowiadali wojnę społeczeństwu i oficjalnej modzie, wystarczyło krótko się ostrzyć, by zmanifestować swą przynależność do ruchu. Później, gdy średnia długość czupryn zgodnie z wymogami światowej mody wydatnie się zmniejszyła, punkowie musieli w bardziej ekstrawagancki sposób demonstrować swą „inność”. Obecnie punk bądź to goli głowę<sup>5)</sup>, bądź strzyż swoje włosy, usztywniając je mydłem, tłuszczem lub białkiem. Typowa fryzura „na punka” to włosy z przodu krótkie i postawione dęba, niekiedy wygolone nad uszami, z tyłu dłuższe. Wielu farbuję swe czupryny na fioletowo lub zielono, wielu czesze się w tzw. „koguci grzebień”.

Niekiedy punksi malują się: czasem po prostu pokrywają twarz kolorowymi pasami, czasem jest to bardziej wyszukany, trupioślady makijaż z słnymi cieniami pod oczyma. Są i indywidualne pomysły — np. namalowany na policzku pajak, który swą pajęczyną osnuwa całą twarz.

Punkersi dopracowali się nie tylko własnego stroju, ale i własnej rytualnej symboliki. Najczęściej używanymi — obok agrafki — symbolami punk są wpisane w koło litery „K” i „A”; pierwsza znaczy ma „O'Key”, druga (faktycznie godło ruchu) symbolizuje Anarchię. Skoro już o tym mowa, trzeba wspomnieć, że początkowo punksi odwoływali się nieraz do emblematów nazistowskich — stąd liczone swastyki, stąd rozpoczynanie koncertów od pierwszych taktów „Deutschland über alles”, stąd noszenie portretów Hitlera... Wytłumaczyć to można poszukiwaniem symboli najbardziej

przeciwstawiają punkowie swą totalność. Agresywność bez celu i miarę, czyny, dla zasady, jest konwencją zachowania punka. Wyraża się szczególnie podczas koncertów muzyki punk, gdy muzycy wymiotują i wymidorowym sosem (co ponoć świadczy o imitacji krwotok), plują na publiczność i rzucają w nią różnymi przedmiotami (w Anglii np. puszkami po piwie<sup>6)</sup>; publika zaś nie pozostaje im dłużna, dodatkowo kotłując się, popychając i bijąc. Za najbardziej odrażający w historii rocka koncert uchodzi podobno (wiadomość nie sprawdzona) jeden z występów punkowych, gdzie z klatek wypuszczono na scenę szczury, a lider miał jakoby jedno z tych gryzoni złapać, zagryźć (i cisnąć w tłum. Na podobny koncert wpadli też polscy punksi, obrzucający się na niektórych koncertach zdechłymi szczurami).

Punkowe tańce to osobna karta. Ich wielka widowiskowość przyciąga oczy postronnych i obiektywy fotoreporterów, ale u patrzących wzbudza strach i agresję. Najprostszym i chyba najstarszym tańcem jest tzw. „pogo”, czyli po prostu podskakiwanie w rytm muzyki (na w miarę prostych nogach); skaczący popychają się, zderzają bezładnie. „Wyższą” od pogo formą tańca jest ogólna „zadyma”, w której wszyscy się biją, kotłują, popychają. Jedną z jej figur jest „czolg”: kilku tańczących chwytają się, rozpędzają i całym impetem wali w tłum. Niekiedy dwóch punków chwyciwszy się za ręce wiruje w opętaniczym tempie tak długo, dopóki któryś nie puści się (skutek jest oczywisty). Można wreszcie objąć się ramionami, jak w zorbie, i zrobić koło: krąg tańczących ciągle będzie się zwiększał, coraz to nowi będą doń dołączali, aż wreszcie — za duży — rozpadnie się.

Pogo i jego pochodne wyglądają szalenie groźnie, ponieważ zmuszają też punków do noszenia ciężkich buciurów i opancerzonych nitami „skór”. W rzeczywistości jednak nie są niebezpieczne: wywróconym natychmiast pomaga się wstać, bywa, że taniec przerwany jest, gdy np. ktoś coś zgubił itp.

Agresywność punków nie ogranicza się do sal koncertowych, wyraża się też (niekiedy) w fizycznej przemocy wobec ludzi i rzeczy, w wandalizmie, w bijatykach z konkurencyjnymi grupami młodzieży (dawniej z pogardzanymi hippiesami, teraz głównie z znieprawdzonymi poppersami<sup>7)</sup>), w praktycznym łamaniu tzw. norm współżycia (np. niepłaceniu za bilety<sup>8)</sup>), wreszcie w nieustannym prowokowaniu otoczenia. Punkersi prowokują wszystkim: wyglądem, zachowaniem (gdy liderowi SEX PISTOLS umożliwiono występ w telewizji, wykorzystał go do obrzucenia wywłaskami prowadzącego program i królowej brytyjskiej), wulgarnym slangiem, swoją muzyką, swoją ideologią.

Dodajmy do tego nazwy zespołów punk: ZWŁOKI, TEATR NIENAWISCI (Theatre of Hate), OBŁĘD (Mad-

zumieć fenomenu punkowej kontestacji.

Zastanawiam się, czy słowa „filozofia” nie wziąć w cudzysłów. Punksi przecież sami odcinają się od wszelkiej ideologii (twierdzą nieraz, że nie mają własnej), każdą ideologię uważają za formę oszukiwania ludzi. Nie ma więc żadnych świętych ksiąg, brak jakichkolwiek kanonów punkowej ortodoksji, co pozwala na bardzo dowolną interpretację jej zasad. Zamektu ideowego dopełnia fakt, że wielu punków uczestniczy w ruchu nie ze względów ideowych, a dla zgrzywy czy mody.

Myślę jednak, że mimo wszystko można mówić o filozofii punk, jako że filozofia w szerszym rozumieniu jest każdy system myślowy — sposób rozumienia świata. Próbuje zrekonstruować ideologię punk, trzeba się odwoływać przede wszystkim do tekstów piosenek tworzonych i wykonywanych przez punkrockowych muzyków, do krótkich a dosadnych hasel, malowanych przez punków gdzie popadnie: na ścianach, garderobie, nawet na ciele, wreszcie do tego, co drukowane jest w punkowych pisemkach („Sniffin' Glue” czy choćby warszawskie „Białe Wulkany”).

Jak w każdej ideologii młodzieżowej kontrkultury i w filozofii punk centralną wartością stanowi wolność. Wolność (jej brak) jest zarówno przyczyną buntu punka, jak i celem, do którego dąży, ideałem, którego szuka. Wrogiem punka w jego walce okazuje się być całe represyjne społeczeństwo, które niewoli go zarówno poprzez swoje instytucje: szkołę, rodzinę, kościół, wojsko, policję, pracę zawodową, jak i poprzez moralność i w ogóle wszelkie społeczne wzorce postępowania<sup>9)</sup>. Inaczej mówiąc, wrogiem punka jest po prostu cały otaczający go świat.

Świat budzi w punku uczucie odrazy. Rzeczywistość widziana przez ciemne punkowskie okulary jest smutna, pusta i szara, do szczeru wyzuta z ciepła, dobra, miłości, ze wszelkich ludzkich uczuć. W tym zdehumanizowanym świecie człowiek istnieje sam; inni ludzie („ludziki”) są dla niego tylko szarymi elementami równie szarego otoczenia, są przedmiotami, są mu obcy i wrocy.

Twórczość punk wiele miejsca poświęca samotności — śpiewali o niej i SEX PISTOLS (np. „I'm lonely boy” z LP „The Great Rock'n'Roll Swindle”), i CLASH („Jeździć pustym metrem i szukam domu. Pociąg wozi mnie tam i z powrotem. Wiatr gwizdzie w opuszczonych domach. Błądź wśród pustych ścian, jestem całkiem sam...”), i polskie NOCNE SZCZURY.

Charakterystyczne przy tym, że punksi wiedzą, iż sami też uformowani zostali przez otaczający ich świat i są do niego podobni — nie idealizują siebie. Samotność i zło otoczenia mają swe lustrzane odbicie w pustce i nudzie zderzającej punków od wewnątrz (sami określają się mianem „pustej generacji”).

szukają w muzyce, alkoholu (ale nie w narkotykach!) i burdzie.

Zderająca punków rozpacz i bezradność nie pcha ich jednak w objęcia bierności, a wręcz przeciwnie — pobudza ich do buntu. Nie należy jednak utożsamiać ich rewolty z jakąś rewolucją: punksi nie wierzą w jej skuteczność, więc ich rebelia nie ma celu, a mówiąc ściślej — stanowi cel „sam w sobie”. Jest programowo bezprogramowa. Jest czystą negacją pozabawioną wszelkich konstruktywnych elementów. Jest anarchiczna i apolityczna równocześnie, żywiołowa, wyłącznie destrukcyjna.

Najlepiej chyba zdefiniowali swój bunt sami punkersi w największym szlagierze punk pt. „Anarchy in the U.K.”: „Nie wiem czego chcę / Ale wiem, jak to mieć / Chcę wszystko zniszczyć / Chcę być anarchistą!”.

I jeszcze jedna charakterystyczna cecha: punk to kolejny „bunt młodych”, przejaw walki pokoleń. Jego uczestników cechuje silna więź pokoleniowa (THE JAM: „...Pora już, by młodzi się zjednoczyli”) oraz niechęć wobec dorosłych („zgrebów”) jako twórców całego odrażającego świata. Niechęć obejmuje nie tylko zresztą pokolenie rodziców, ale też przedstawicieli nieco starszej („hippiesowskiej”) generacji, a nawet „pokornych” rówieśników.

Pisząc o wyglądzie, zachowaniu i filozofii punków nieprzypadkowo kilkakrotnie wspominałem o punk rocku...

(dokończenie nastąpi)

- 1) Jak to bywa z terminami obcego pochodzenia, i w wypadku słowa „punk” jest problem z jego odmianą. O ile wiadomo, że w liczbie pojedynczej mówi się „ten punk” (chociaż czasem też „punksi”), o tyle w liczbie mnogiej używa się określeń „punksi” (z angielskiego), „punkersi” (z niemieckiego) czy „punkki”, a nawet „punkowcy”. Sami uczestnicy ruchu nazywają zaś siebie często „szpunami”.
- 2) Wiąże się to z wyodrębnieniem w ruchu punk tzw. „skinów” (skinheadsów), czyli ogolonogłowych.
- 3) Tak było w chwili powstania ruchu. Obecnie w roli wroga nr 1 zastąpił hippiesów — poppersi.
- 4) Np. Iggy Pop, zwany Ojcem Chrzestnym punków, „...młota się na scenie, gryzie tuczony szkło, wymiotuje i oblewa się gorącym wośkiem” (M. Beresowski „Konioczenie skandal”, Warszawa 1982).
- 5) Ulubiona rozrywka punków jest strzyżenie poppersom ich grzyw (mimo iż wśród punkowców też spotyka się „grzywacz”).
- 6) Takie są punkowe „wzorce zachowania”, jednak tylko część punków bierze je sobie do serca, dlatego bynajmniej nie można utożsamiać ruchu punkowego z chuliganami i wandalami.
- 7) Stąd „polityczny” aspekt ruchu punk: jego anarchizm, swobodny pacyfizm (a raczej antymilitaryzm), antyklerykalizm.
- 8) „XXI wiek — wiek pleców krematoryjnych, XXI wiek — wiek obosów koncentracyjnych... — oto jak widzi przyszłość grupa DEZERTER”.
- 9) Patrz: rozmowa z punkiem, przeprowadzona przez U. Białous („Umrzeć w rocku”, „Polityka” nr 35/83) — pesymizm ponurujący jest do samounicestwienia.
- 10) Patrz: Nowofalowa Lista Przebołów Wszeźwiasów („Magazyn Muzyki JAZZ” nr 1-2/83).

# Sztuka pisania

Dokończenie ze str. 1

krótki biogram autora fotografii, wziąć za to pieniądze i udać się elastycznym krokiem w swoją stronę. To jednak nie zaspokajało ambicji Al. L. Gzelli i postanowił on stanąć w obronie czystej sztuki Waldemara Stępnia, przemawiając z pomocy mentorskich i pouczając nie wiadomo kogo.

„Ocena pracy artystycznej poprzez wyraz tematów zainteresowań fotografika jest swoistą próbą zakamuflowania właściwej wartości dzieła sztuki. W ostatecznym rozrachunku nie liczy się przecież, ile artysta wykonał krajobrazów czy martwych natur, ale co z podjęcia danego tematu wynikało, jaki jest tej pracy efekt” — pisze Gzella, i słusznie.

„Na podstawie powtarzalności ujęć tematycznych można mieć pewność, że Waldemar Stępień lubi fotografować portrety i architekturę oraz że ma inklinacje do fotografii reporterskiej. Ale album Podlasie nie jest zestawem ujęć fotoreporterskich, jest wizją regionu artysty-fotografika świadomego wartości piękna sztuki fotograficznej”. Racja.

„Fotografia jest dziełem chwili, zatrzymaniem w zmaterializowanym kształcie wydarzeń, spotkań i działań ludzkich. Fotografującemu często udaje się zrobić ciekawe zdjęcie, to się zdarza, ale jeśli umie jeszcze przewidzieć to zdarzenie oraz najcelniej i najtrafniej do niego ustawić aparat, to jest zasługą jego artystycznego wyczucia, talentu, praktyki”. Też prawda.

— Po takich zapowiedziach oczekujemy w skupieniu, jakie to artystyczne „efekty”, „wizje regionu”, „wartości piękna sztuki” odsłoni Gzella w fotografiach Stępnia. Tymczasem dalej czytamy o tym, gdzie i kiedy Stępień debiutował, w jakich wystawach i konkursach uczestniczył oraz o czym „opowiadają” te fotografie. A opowiadają one mianowicie „o ludziach, ich zajęciu na polu i w fabrykach, o zwyczajach, tradycji, przemianach”, o „niecodzienności przyrody i wyjątkowości zabytkowej architektury, pamiętającej czasy Polski szlacheckiej, i budowlań wspólnych, świadczących o naszych dniach pełnych niemałego wysiłku, nieraz wyrzeczeń, ale pracowitych i znaczących niewątpliwymi osiągnięciami”.

Koniec wypowiedzi Al. L. Gzelli, pełnej niemałego wysiłku, nieraz wyrzeczeń, ale pracowitej i znaczącej niewątpliwymi osiągnięciami oraz opatrzonej — nie wiedzieć czemu — podobizną artysty Waldemara Stępnia z czasów pierwszej komunii, tyle że z aparatem fotograficznym w ręku. Dla jasności — sztukę fotoreporterską Stępnia nadal cenię wysoko.

Cała ta „sprawa” byłaby dosyć smutna, gdyby nie była taka wesoła. Gzella nadyma się, przewraca białkami, byczy groźnie jak lont podpalony pod beczką prochu i kiedy wszyscy oczekujemy natychmiast jakiegoś straszliwie celnego i głośnego wystrzału, on puszcza — pardon! — cichego bączka i wędnie jak liść rabarbaru w słonecznej splekocie. Oto do czego prowadzi idealistyczne traktowanie pisania! Ale to jeszcze nie jest najcięższy przypadek.

Cyniczne podejście do pisania zakłada pewną zasadniczą uczciwość — muszą pisać sprawnie po polsku i w zgodzie z podstawową empirią oraz elementarną wiedzą, inaczej nie będą mnie drukować i nie zarobię. Chociaż okazuje się, że nie zawsze. Cóż bowiem powiedzieć o ludziach, którzy piszą i drukują głównie dla zarobku, a popełniają niedorzeczne błędy faktograficzne i językowe, wynikające z ignorancji i lenistwa! Oczywiście każdemu wolno się pomylić. Powiedziałbym nawet, że błędy są nieuniknione, szczególnie gdy się pisze o historii. Chodzi tylko, jakiego kalibru to są błędy. Można się mylić genialnie, ale można też idiotycznie.

Tę drugą kategorię omyłek reprezentuje działalność pp. Andrzeja Kasprzyka i Adolfa Mirosława, którym w wydawnictwie „Sport i Turystyka” opublikowano przewodnik pt. „Biała Podlaska i okolice” (Warszawa 1982). Do jego części zatytułowanej „Opisy miejscowości” zamierzam sporządzić erratę. Będę poprawiał, jak leci, ale wrywkowo, i niech autorzy sami sobie rozstrzygną, co jest u nich wynikiem ignorancji, a co lenistwa.

Nie można pisać, że konie hodowane w Janowskiej stadninie są „czyste (pełne) krwi arabskiej”, ponieważ każdy, kto choć raz rozmawiał z dyrektorem stadniny, Andrzejem Krzyształowiczem, wie, że określenie „czysta krew” odnosi się wyłącznie do „arabów”, zaś „pełna krew” wyłącznie do „anglików”. Ale może to jest za trudne?

Betonowe forty w Kobylanach nie „zostały wzniesione na pocz. XIX w.”, lecz w latach 1911—1914.

5 lutego 1919 r. stoczył bitwę z Niemcami w okolicy Kobylan nie „34 biański pułk piechoty”, ale dwie kompanie tego pułku, i jest to pewna różnica.

„Na pocz. XVIII w. Kodeń przeszedł w ręce rodziny Branickich. W 1715 r. Elżbieta z Branickich Sapieżyna wniosła na jego przedmieściu letnią rezydencję otoczoną ogrodem włoskim” — piszą autorzy przewodnika. Na początku XVIII w. Kodeń należał do Jana Fryderyka Sapiehy i tak to trwało aż do 1751 r. W 1715 r. Elżbieta z Branickich Sapieżyna nie mogła wnieść żadnej rezydencji, ponieważ urodziła się w r. 1733, a rezydencję wznosił Paweł Sapieha, stryj Jana Fryderyka. Poza tym wszystko się zgadza.

Jan Chryzostom Pasek stoczył w Kozieradach pojedynkę nie „z braćmi Nurzyńskimi i Jasińskimi”, lecz z Nuczyńskim i braćmi Jasińskimi. Jest to wiedza z zakresu szkoły podstawowej.

Jeśli zaś chodzi o szkołę podstawową, to istotnie znajduje się ona w pałacu w Konstancynie (dawnych Kozieradach), tylko drobiazg — najwartejściwsza pod względem zabytkowym, klasycystyczna część pałacu mieści aptekę, zaś szkoła zajmuje późniejsze pałacowe przybudówki. Warto czasem pojechać w teren, żeby zobaczyć obiekt, o którym się pisze.

„Osada zwana była dawniej przez okoliczną ludność Okopy Krzyżackie”. Zwana była Okopą-

mi Krzyżackimi. Nie należy popełniać błędów gramatycznych.

„W latach dwudziestych XIX w. uruchomiony został trakt pocztowy z Warszawy do Terespoła”. Nie w latach dwudziestych itd., lecz dokładnie w latach 1819—1823, i nie z Warszawy do Terespoła, lecz z Warszawy do Brześcia.

W 1824 r., kiedy to stacja pocztowa w Międzyrzeczu zyskała na znaczeniu, nie było już od dawna Księstwa Warszawskiego, a istniało Królestwo Polskie, zwane Kongresowym. Szkoła średnia.

„Na przełomie XVII i XVIII w. w Międzyrzeczu mieszkał Grzegorz Piramowicz, działacz oświatowy, który w l. 1773—94 był sekretarzem Komisji Edukacji Narodowej”. Przede wszystkim — na przełomie XVIII i XIX w. (drobne sto lat później). No i co znaczy „mieszkał”? Piramowicz był księdzem, proboszczem w Międzyrzeczu, to warto napisać gwoździem prawdy historycznej.

Zażal po wyzwoleniu Międzyrzecza w 1944 r. nastal — według autorów — „początek nowego w dziejach miasta okresu dynamicznego rozwoju”, gdy tymczasem wiadomo, że miasteczka Podlasia przez całe kilkanaście lat po wojnie były zaniedbywane, ludzie z nich uciekali i cały naród budował swoją stolicę. No tak, ale musi być „dynamiczny rozwój”.

Julian Ursyn Niemcewicz nie napisał „Pamiętników historycznych”, lecz „Podróże historyczne...”, a ponadto „Pamiętniki czasów moich”. Klania się znów szkoła średnia.

Tablica pamiątkowa na ścianie neogotyckiej kapliczki w Neplach jest poświęcona nie Aleksandrowi Mierzejewskiemu, lecz Juliuszowi Augustowi Mierzejewskiemu. Do Nepli należy się wybrać, piękna wieś letniskowa, od Białej Podlaskiej niezbyt daleko, przy okazji warto zobaczyć wymienioną tablicę pamiątkową.

W latach 1817—1825 car Aleksander I nie był „stałym gościem Nepli”, gdyż pojawił się tam zaledwie parę razy.

Gdy w latach 1980—1981 ja byłem stałym gościem Nepli, to kamień związany rzekomo ze śmiercią Juliusza Mierzejewskiego znajdował się w zagrodzie Jana Sobolewskiego, a nie Aleksandra Szymańskiego. Ale może to się zmieniło?

„Są tu wspaniałe miejsca biwakowe. Niedaleko, w okolicach wsi Łęgi, wspaniałe krajobrazowo nadbużańskie tereny”. Nie należy używać tego samego słowa („wspaniałe”) na przestrzeni dwu następujących po sobie, krótkich zdań, chyba że zabieg ten pełni funkcję ekspresyjną, co nie ma miejsca w tym przypadku.

Gdy w roku 1741 Radzyń przeszedł w ręce Eustachego Potockiego, nowy właściciel nie był wówczas generałem artylerii litewskiej. Ale to jest drobiazg.

„Jeszcze do pożaru w 1915 r. w Studziance istniał czynny mahometański meczet”. Trzeba jasno napisać, że meczet spaliły cofające się wojska carskie. Skąd ta ostrożność?

Obelisk drogowy w Terespołu został postawiony nie w 1823 r., lecz w 1825. (Tu się mogła przysłużyć korekta).

Plaskorzeźb na obelisku nie symbolizują „handlu, rzemiosła i przemysłu”, lecz w dość realistyczny sposób przedstawiają prace przy budowie traktu: Warszawa — Brześć. Do Terespoła też czasem warto zajrzeć i wiedzieć przy okazji, że autorem plaskorzeźb był Paweł Maliński (1790—1853), rzeźbiarz.

Dzieło pt. „Biała Podlaska i okolice” napisali dwaj zawodowi krajoznawcy z Białej Podlaskiej, a na etapie redakcyjnym recenzowali słynni turyści przeważnie z okolic: Ireneusz Caban, Jerzy Sroka i Włodzimierz Wójcikowski.

Maciej Podgóski

## Okolice sztuki

### Pamiętnik zanurzony w farbie

MARIAN Makarski, jak wiadomo, jest architektem po studiach w Politechnice Krakowskiej; według jego projektu wznoszony jest właśnie przy Al. Kraśnickiej w Lublinie okazały kościół — tak zdecydowany w zarysie bryły, tak dynamiczny w elipsie dachu biegnącego wprost do nieba, że kiedy mijam ów obiekt, nic, tylko respekt odczuwam i myślę o Ignacym Loyoli, którego wizerunki widzę oczyma wyobraźni we wnętrzu tej świątyni.

Marian Makarski, jak wiemy, jest także malarzem, który z pierwszą wystawą indywidualną wystąpił bardzo dawno, bo w 1959 roku, w Klubie MPIK przy Krakowskim Przedmieściu, gdzie wtedy, w tych roznamiętnio-

nych wizjach Świętej Nowoczesności czasach, odbywały się ciekawe spotkania i pokazy, a członkowie grupy „Zamek”, koczujący w lokalu, oglądani byli ze czcią nabożną przez maluczkich, tylko na prywatny użytek zachodzących w głowę, jakim to cudem prace trzech „zamkowiczów” przytroczono do zespołu pieśni i tańca Wandy Kaniorowej, sposobiącego się do francuskiej ekskursji. Makarski ujawniał wówczas bardzo umiarkowane zainteresowanie tzw. nowoczesnością w sztuce. Owszem, był „za” — spróbowałby nie być! — ale zbyt mocno poclagały go pejzaże Kazimierza nad Wisłą, by w twórczości zaprzeczać tej swojej cichej i czystej fascynacji.

No i teraz, 25 lat po tamtej pierwszej wystawie, Makarski pokazał w BWA 47 obrazów.

Kierowany intencją psychologiczną, szukałem w płótnach zapisu osobowości architekta, który wznosił sobie oto pomnik przy Al. Kraśnickiej. Znalazłem zupełnie inną wrażliwość, zanurzoną w zmysłowo rozedrganych grudkach farby, układających się w sentymentalny i nostalgiczny wizerunek własny artysty, widniejący w motywacyjnym tle tych pejzaży naturalnych i symbolicznych, wnętrza i kwiatów na parapetach okiennych.

Ludzie w większości są sentymentalni, Polacy stanowią w tym względzie przykład najlepszy, ale czy kto słyszał, żeby bezkarnie nazywano czyjąś twórczość sentymentalną? Toż to brzmi jak obelga, donos do instancji opiniotwórczych, których antenaci już ponad pół wieku temu orzekli, że rzecz artyści jest intelektualna spekulacja i eksperyment na rzeczywistości. No cóż, pojmując sentymentalność w sensie wyluszczonego kiedyś przez Antoniego Gołubiewa, który bronił tej postawy jako manifestacji autentycznych uczuć człowieka, z zaciekawieniem oglądałem obrazy Makarskiego.

I notowałem powtarzające się od lat motywy: pustych krzesel w bezładnych wnętrzach, linoskoczków dyskretnie lokowanych w scenarii domków jak skały z ikon ruskich czy bizantyjskich, samotnych grajków ulicznych, don Kichota obserwowanego przez kobietę w oknie, chłopców wspinających się ścieżką niska w horyzoncie. Taki rejestr mógłby posłużyć do zbudowania wiersza o ludzkiej samotności i tęsknocie za minionym już światłem dziecięcych czy młodzieńczych dni i marzeń, ale nie byłoby to chyba wiersz najlepszy. Siedzenie i wyłuskiwanie poszczególnych znaków z obrazów Makarskiego bez uwzględnienia specyfiki malarskiej tworzywa jest przecież czynnością bezprawną i jałową. W ogóle malarstwo ma to do siebie, że

motywom zbanalizowanym np. w literaturze potrafi nadawać nowe sensy, nową urodę, całkiem intrygującą postać.

Makarski nie przedstawia nam w swoich obrazach opowieści o samotnym skrzypku na placu, któremu wótruje na tablice jakąś jegomość w oknie. On buduje kompozycję malarską z oehry, czerwieni i brązów na tle ostrej zieleni, przy pomocy takiej palety zaznacza, tylko zaznacza, formy domów i ludzkich postaci, a dopiero wypadkową owych decyzji plikturalnych staje się ów nostalgiczny klimat emocjonalny. Zresztą w pewnej grupie płócien Makarski wyraźniej sugeruje malarskie podobieństwo swoich wypowiedzi, wyodrębniając w nich coś w rodzaju wewnętrznej ramy, barwnego otoku wnętrza kompozycji, który niejako wyznacza pole autorskiej gry z materią farby i tworzonych na jej kanwie znaków. Nie ulega wszak wątpliwości, że lublinianin traktuje twórczość jak pamiętnik własnej wyobraźni zapisywany z respektem dla reguł języka, którym się posługuje. Naturalnie, nie wszystkie strofy tego pamiętnika muszą budzić uznanie.

Zaluzując, że na wystawie nie znalazły się pejzaże kazimierskie z pierwszej połowy lat sześćdziesiątych, jedne z najlepszych prac w dorobku Makarskiego, niemałą pociechę spostrzegłem w płótnach z kwiatami i butelkami na tle okien. Ile w tych obrazach vitalności, rozmachu i malarskiej swobody, ile zdumiewającej radości życia! Będę szczerzy: te właśnie prace wyróżniłbym z całej wystawy — obok np. „Wnętrza” z 1965 roku. Na domiar dobrego odniosłem wrażenie, że kompozycje z kwiatami powstały stosunkowo niedawno. O czym warto wspomnieć w tych naszych trudnych czasach.

IJK  
PS. Wstyd powiedzieć, ale wystawę jubileuszową artysty przygotowano bez szacunku dla historii, bez wskazania, kiedy powstały poszczególne prace i jak brzmia ich tytuły. Ludzie, to nie jest biała sprawa!





**W**ALKA jest najstarszą, jeszcze przedludzką formą zachowania i metodą życia umożliwiającą przetrwanie w naturę człowieka od początku jego istnienia wpisane jest dążenie do pewności, poczucia bezpieczeństwa i spokoju. Człowiek musiał w obronie swych jednostkowych praw do życia walczyć wystarczająco długo, aby duch tych zmagania zamieszkał w jego genach i stał się częścią jego „ja”. Mit walki jako konieczności i potrzeby życiowej istnieje nadal i nawet rozwija się, dając początek różnym stylom życia, m.in. stylowi życia jako walki. Spójrzmy tylko na re-ytywane od lat hasła tzw. cywilizacji technicznej: zdobywanie kosmosu, ujarzmianie przyrody, walka z żywiołami, pokonanie natury...

Współczesna psychologia uznaje walkę za przejaw strachu i obaw, jako obronę przed atak, opartą na sytuacjach stresowych ukrytych fobiach, pobudzaniu przez bodźce zagrożeniowe itp. Chrześcijański pacyfizm zatrzymał się na etapie godnego szacunku symbolu Jezusa nadstawiającego drugi policzek, symbolu urealnionego męczeńską postawą św. M. ksymiliana Kolbe Pacyfizm współczesnych filozofów jest bardziej zróżnicowany i sięga od pism Bertranda Russella po praktyki hippisów. W te tych wyjątkowych moralności ploną pola sepek bitew i dziesiątków wojen, agresywnych i obronnych, dawnych i współczesnych, usprawiedliwionych i potępionych, tradycyjnych i tych praw, już kosmicznych.

Dziś coraz częściej mówi się o walce jako relikcie czasów najgorszych i skłania bardziej ku pokojowym, porozumieniowym metodom rozwiązywania konfliktów. Tak przynajmniej głoszają oficjalnie, lecz często tylko zbożno-żyłczyeniowe deklaracje. Tak jak dążenie do pewności i spokoju jest częścią ludzkiej natury, tak samo walka jest częścią męskiej natury. Pozorowana i ćwiczona jeszcze w niewinnych baraskach, przechodzi swoje stadium dziecięce i młodzieńcze. Jako prawdziwy już system zachowań, reakcji i technik staje się zwyciężającym, choć też niejako archetypalnym, instynktownym zachowaniem dorosłych. I może dlatego wybór walki jako drogi życia i bohatera walczącego nie musi nas tak bardzo dziwić.

Wschód wraz ze swymi idealami pełnej harmonii ofiarował światu zarówno totalny pacyfizm ahimsy (tej dżinijskiej zalecającej omijanie pelzającego drogą robaczka, i tej buddyjskiej, wyznawanej przez płonących w Wietnamie mnichów), jak i perfekcyjne metody sztuk wojennych w rodzaju wu-shu, czy kung-fu. Wschód zna dążenie do stanu optymalnego i pożądanego doskonałości, ale też zna zasadę mówiącą, że każdy jest na swoim miejscu.

Zakonnicy Dharmy, którym reguły pewnych szkół i zakonów zabraniały nosić broni, uczyć się walczyć w obronie własnego życia i nauki niesionej barbarzyńcom, zdobywali umiejętność pokonywania napastnika bez przelewania krwi. Tak udoskonalili oni system walki bez oręża, że powstanie i wyćwiczone stopy z powodzeniem mogły już nie tylko włóczyć lub młiec zastąpić, ale i w pewnych przypadkach wszelką broń pokonać.

Inne szkoły rozwinęły własne kanony ciosów, rzutów, chwytów, uników, dźwigni, bloków i postaw. Jeszcze inne zajęły się eksperymentami z energią wewnętrzną i zewnętrzna, uspokajaniem ducha, otwieraniem umysłu, doskonaleniem uwagi. Sięgnęły do źródeł mniszych doskonałości, do medytacji, koncentracji, ćwiczeń oddechowych, praktyk buddyjskich, tantrycznych, taoistycznych, shintoistycznych, szamańskich i do klasycznej jogi. Stały się sztuką w pełnym słowa tego znaczeniu, wstępując do nowych idealnych form duchowych.

Zrodzone w przyklastycznych świątyniach systemy walki wręcz ewoluowały z czasem także ku świeckości, ku sportowym lub rekreacyjnym formom. A gdzieś na uboczu, poza naukami słynnych świątyni, które w swej wojennej specjalizacji niejednokrotnie odeszły od zasad właściwej praktyki, poza sławą legendarnych szkół walki, pielgrzymicel bractw i zwiazków ryceerskich, w pustelniach i prawie nieznanych klasztorach eremach rozwinął się kierunek będący kolejnym etapem ewolucji bezorężnych technik – walka wewnętrzna, preferująca, w odróżnieniu od zewnętrznych form, unieszkodliwienie bądź eliminowanie przeciwników metodami parapsychicznymi, dziś bardziej naukowo mówi się – psychotronicznymi, a więc: hipnozą, sugestią telepatyczną, uderzeniami skoncentrowanej bioenergii, opancerzeniem energetycznym, magią lub mocą... spokojnego umysłu.

I znów, jak zwykle w orientalnych filozofach, spotkały się dwie skrajności: wspomniana już ahimsa, niekrywdzenie żadnych odczuwających istot, oraz poszukiwanie czarnoksiężskiej wszechmocy, metod zablifanta sama myśla.

Sfery, w których kontemplacyjny Wschód zderza się z hałaśliwym Zachodem, są strefami nieporozumień,

zawiedzionych nadziei i dramatów. Rudyard Kipling zauważył kiedyś że światy Wschodu i Zachodu nie mogą się ze sobą ostatecznie spotkać, że zawsze będą się mijać. Zachód nie jest w stanie dotrzeć do istotnych wartości Wschodu. Wschód nie zawsze radzi sobie z obcymi od podstaw racjami przyjemności i iluzji Smoki, jakie się w takich okolicznościach rodzą, wcale nie muszą być Smokami Dharmy czy Tao. Często są tylko Smokami Walki. Napisałem „tylko”, ale przecież wszyscy jesteśmy na swo-

**Dlaczego Bruce Lee?**

## MY, SMOKI

ich miejscach... Pewnie dlatego, mimo wszystkich wątpliwości i nieporozumień, kusł nas tak bardzo i urzeka nadskuteczność i czystość walk wschodnich, ich tajemnica.

Bruce Lee znalazł się w miejscu, które było takim właśnie spotkaniem dwóch światów. „Chińskość” Lee, wraz z całym bagażem tradycji, dobrej filozofii i mądrości życiowej, w zderzeniu z rzeczywistością „amerykańskiego dream” stała się zaledwie formalnością pochodzenia. Był mistrzem, nie będąc nim jednocześnie. Szedł przez życie walcząc, przekopywał się przez nie i przeboksowywał w rytmie kilku kata i chachy, przy akompaniamencie trzaskających kości i fanfar filmowych gali. Nie opanowawszy jednej sztuki walki, stworzył sztukę wszystkich walk. Był gwiazdorem: i filmowym, i walki. Był dzieckiem Hongkongu, tej wyspiarskiej prowincji, w której smok starych Chin zmuszony jest iść łapa w łapę z wyliniałym lwem brytyjskiego imperium. Był dzieckiem Chinatown, getta dla amerykańskich i coraz bardziej amerykańizujących się Azjatów. W końcu stał się dzieckiem Ameryki, a ona okazała się złą macochą Lee wyruszył na pojedynek z molochem obcego mu świata i był to wybór samobójczy.

Nigdy nie był w pełni człowiekiem Wschodu, nigdy nie stał się tak naprawdę człowiekiem Zachodu. Jakiegokolwiek miał zamiary, w cokolwiek wierzył, czegośkolwiek oczekiwał, trafił w końcu w próżnię. Ostatecznie nie przyznał się do niego żaden ze światów, w których przyszło mu żyć. Oba zatrasnęły przed nim drzwi. Została tylko legenda, będąca zapisem jednego dramatu. Legenda efektywna, miejscami nadzwyczaj urokliwa i kusząca, ale w ostatecznym podsumowaniu godna westchnienia i zamyślenia nad prawami losu.

A przecież Mały Smok miał i ma na świecie miliony wyznawców. Czy jest czymś dziwnym, że ma ich i u nas?

Nasza moda na Wschód realizuje się w dwu kierunkach: oprócz tłumów szpanerów obnoszących fikcję niezrozumiałych dla siebie symboli, zachowań i prawd rodem z egzotycznych

religi i mitologii, jest w Polsce wielu ludzi poświęcających się poważnym studiom nad filozofiami Orientu, oddających się ich praktykom, duchowym ćwiczeniom wraz z wszystkimi ich konsekwencjami. Mały Smok wkroczył na ekrany kin akurat wtedy, gdy już mocno zachłystywaliśmy się karate. Wkroczył jak na Smoka przystało, z przebojowością huraganu i theatrum: dziesiątków w zwolnionym tempie padających przeciwników, trzasku pękających kości, wycia bólu, odgłosów potężnych razów i bojo-

**Bogusław K. Kowalski**

wych okrzyków. Jeśli dodać do tego jeszcze – mętną, bo mętną, ale zawsze – filozofię tajemnej siły wewnętrznej i nadczołowieczeństwa kung-fu, okazało się, że otrzymaliśmy koncentrat działający z mocą narkotyku.

Nikt nie zwrócił uwagi na skośnoołą inność ekranowego herosa, jego kulturową obcość też pominięto, zlekceważono. Nie liczył wzięł sobie do serca i ku pamięci filozoficzny wykład szlachetnej walki obronnej, walki jako życia i życia jako walki. Cała reszta pasjonatów, ogromna ich większość, zapatrzona w błyskawicznie uderzającą pięść Smoka i jego stopy tnące powietrze i zebra, widziała tylko Bruce'a Lee – „mistrza kung-fu”.

Dezorientacja w zakresie wiedzy na temat azjatyckich walk pozwalała na przeczenie tak „malo istotnych” szczegółów jak zasadnicze różnice i odrębność klasycznego kung-fu i reformowanego Jeet-kune-do, orzepsańc dziełca filozofię mistrzów shaolinskich od reguł adeptów stylu bez stylu Liczył się tylko ON, Bruce Lee. Cokolwiek reprezentował, cokolwiek potrafił, czegośkolwiek nauczał, Bohaterowie grani przez Lee, niezależnie od imion, jakie nosili, zawsze byli podobni, często wręcz tacy sami. Był to właściwie tylko jeden bohater. Mały Smok, który w kolejnych ekranowych wcieleniach zjawiał się, aby zgromić zło, zaprowadzić naruszoną sprawiedliwość i odejść. Przychodził znikąd i donikąd odchodził. Zawsze sam przelewał wszystkim.

I takim go przyjęliśmy w Polsce. Mimo oczywistej umowności kina, filmowej akcji, jednocześnie w jakiś hipnotyczny sposób identyfikowaliśmy aktora z bohaterem. Bruce nam to ułatwiał, niekiedy wręcz sugerował. Grał siebie, zawsze i do końca. W swym ostatnim niedokończonym filmie, zatytułowanym „Gra śmierci”, zagrał się na śmierć! To się nazywa konsekwencja przyjętego wyboru.

Bruce nie był bohaterem komiksowym, wymyślonym, żył naprawdę i wygrywał naprawdę przegrał.

Może również dlatego był bliższy nam, którzy na co dzień także często przegrywamy swoje małe i większe sprawy. Ile razy czujemy się bezsilni, bez szans, bez nadziei. Spadając w głąb tej narastającej niemocy, przegrywając siebie coraz bardziej, czasami załamujemy się. Stajemy wówczas na krawędzi, jedni sięgają po prochy, inni po gniew i obłąkanie, jeszcze inni po swoje życie. Jeśli w porę nie pojawi się jakaś przeoczniona, ostatnia ścieżka, możemy tę krawędź przekroczyć i znaleźć się tam, skąd po-

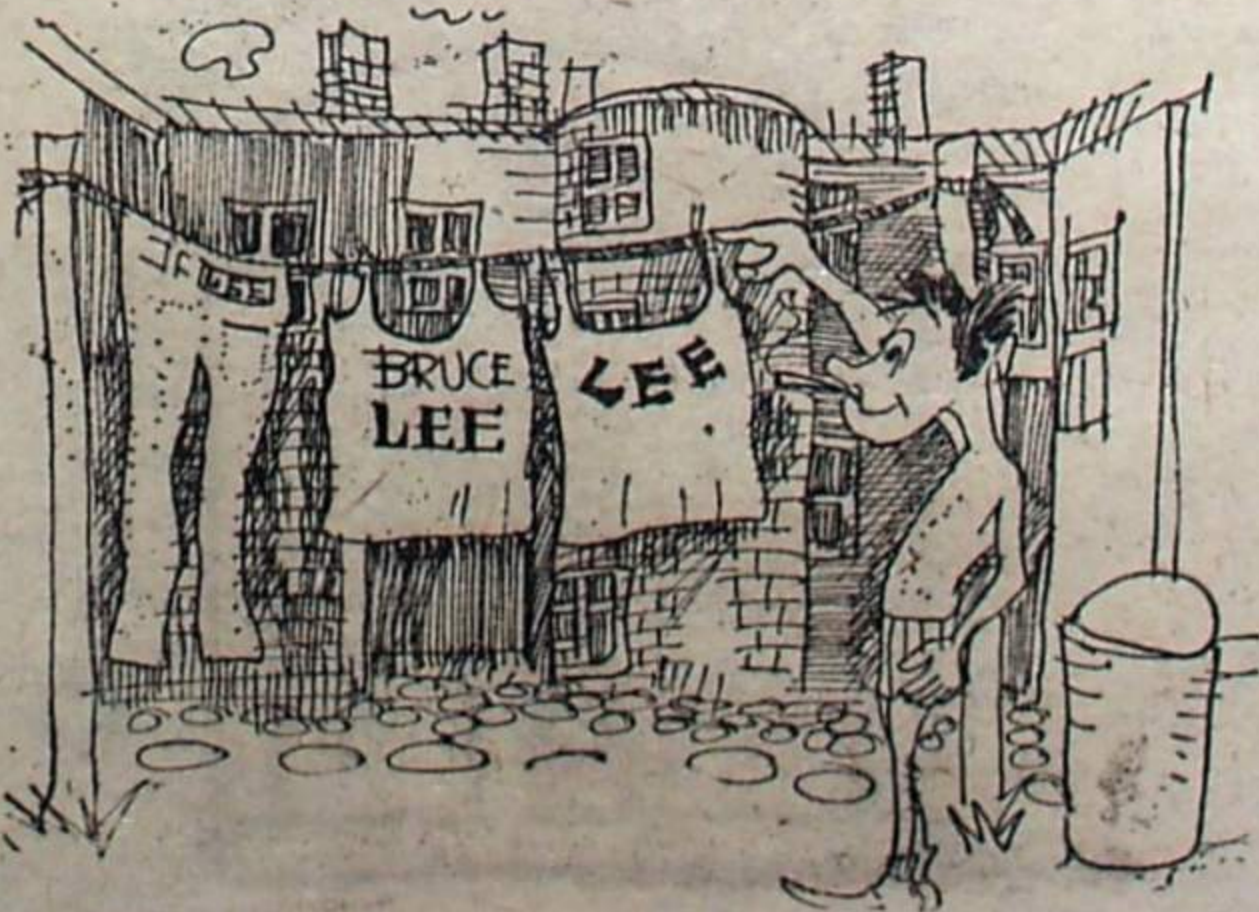
wrotu nie ma. Jesteśmy na ogół słabi, zbyt słabi, aby walczyć ze złem, które nas otacza. Musimy więc szukać innych metod, pośrednich, zastępczych jakby. Zdarza się, że zło codzienne jest zbyt zwyczajne, nazbyt byle jakie, aby wypowiadać mu wielkie wojny. Tolerujemy je lub zbywamy machnięciem ręki, czasami jednym ostrym słowem, jedną gniewną myślą. To prawdziwe zło, „złe zło”, jest poza zasięgiem naszych możliwości. Od rozprawiania się z nim są zawodowcy, którzy, chcąc nie chcąc, i tak muszą stosować wobec zła metody całkiem inne niż te, którymi dysponowali sprawiedliwi wojownicy z przeszłości.

Między urzędową nijakością sali sądowej a krzepiącą dramatycznością i surowością samurajskiej sagi jest wystarczająco wiele miejsca na westchnienie i jakiś mały, irracjonalny żal, tęsknotę za mitami prostych zasad życiowych, nieskomplikowanych reguł gry, w której dla aniołów zematy nigdy nie brakowało szans. Marzymy o takich szansach tym bardziej, że w swej słabości i malej odwadze często przechodzimy obok zła dziejącego się na naszych oczach, nie potrafimy zdobyć się na nic i choć wiemy, że przemoc rodzi tylko przemoc, że kto przemocą walczy, ten od przemocy ginie, choć znamy wyższą moralną podstawianą policzka i ahimsy nad najbardziej choćby sprawiedliwą przemocą i fizyczną obroną, to jednak bywają chwile, że bardzo chcemy o tym wszystkim zapomnieć. Może dobrze, że wtedy właśnie, zamiast ruszać w miasto i ćwiczyć wbrew potrzebie swą odwagę, idziemy do kina, gdzie przez półtorej godziny możemy patrzeć, jak Bruce Lee realizuje nasze desperackie, zrodzone nie tylko z tęsknotą za bohaterstwem, ale często prosto z beznadziei, marzenia. Patrzymy, jak Mały Smok, zmuszony do walki, walczy ze złem tego świata. Patrzymy i walczymy wraz z nim. To my walczymy jak on.

Walka, którą toczymy na ekranie, jest naszym katharsis, oczyszcza nas z codziennych lęków, strachów, niepewności, żalów, pretensji, niechęci, pragnień, błędów, kompleksów, stresów, z małych kłamstewek, słabości, konformizmów, egoizmów, naszej niewiedzy i głupoty. Gdy jako Mały Smok walczy i zwyciężamy, kiedy wolno nam to wszystko, czego nie wolno w życiu, w normalnym naszym codziennym świecie, przekraczamy wszystkie granice, naruszamy tabu, do którego i tak później musimy powrócić i które będzie nas ograniczało aż do następnej wielkiej wojny ze złem. Kiedy wychodzimy z kina, zabieramy w sobie odrobinę tej smoczyczej pewności, że proste, owieczne, naturalne rozwiązania problemów bywają niekiedy najskuteczniejsze i konieczne.

Bruce zjawiał się tu, u nas, i nie jest ważne, jak żył, czemu się sprzeniewierzył, na ile brako mu doskonałości, jakim prawdom przeczył, jaki był tak naprawdę i jak naprawdę zginął. Odszedł młodo, jak Steed, Zbyszek, Che, Jimi, Chrystus, John, jak wielu naszych przyjaciół ze szkoły, z ulicy, tych, których los zabrał wcześniej i którzy już na zawsze zostaną młodzi. Bruce odszedł, ale został z nami, żyje na ekranie i w nas samych. Patrzy na nas ze zdjęć, z kolorowych plakatów przypiętych do słoniarki nad łóżkiem. Jest z nami, gdy jesteśmy szczęśliwi i gdy zamykamy się w pokoju, zaciskamy zęby i bezskutecznie szukamy sobie spokoju. Także wtedy, gdy bieżemy do ręki gazetę i czytamy w niej, że dwaj młodzi ludzie, chcąc ograbić staruszkę, zabił go nunchakami... Wtedy przychodzi strach i pytamy: — Smoku, dlaczego tak jest? Ty tego nigdy nie uczyłeś... A on patrzy, patrzy tak, że w końcu przypominamy sobie słowa wyczytane w jakiejś mądrej książce i powtarzamy je w myśli: każdy jest na swoim miejscu, wszystko jest skutkiem określonych przyczyn, a jednocześnie przyczyną skutków, które dopiero nadejdą, trzeba ocalić wszystkie odczuwające istoty, które ocalić zdołamy, trzeba wykorzystać własne niezliczone ślepe namiętności, zgłębić niezmierną mądrość Oświeconych i osiągnąć wielką Drogę Przebudzonych. I wiemy, że nie muszą to być żadne święte filozofie, żadne obce dogmaty, żadne teoretyzowanie rodem z religioznawczych podręczników. To tylko życie, aż życie, które może być lepsze, prawdziwsze, uczciwsze... I skłaniamy się przed Małym Smokiem, który tak bardzo nam pomaga, i przez chwilę, w ciszy, myślimy o nim jak najlepiej, aby i jemu pomóc. I tak to z nami jest. Tacy jesteśmy my. Smoki.

Od redakcji: Jest to już ostatnia z prac nagrodzonych w naszym konkursie. Wypowiedź publikujemy w obszernym skrócie.



Rys. Józef Tarłowski



Bożena Kowalska

# AEROBIC

za 10 złotych! (1)

W poprzednim numerze „Kamery”, z akcentami wyraźnie ósmomarcowymi, znalazła się między innymi rozmowa z Bożeną Kowalską, lubelską gwiazdą amerykańskiego szaleństwa zbiorowego pn. AEROBIC. Pozycja ta widać została przeczytana z zainteresowaniem, bo już w dniu ukazania się numeru w kioskach otrzymaliśmy pierwsze telefony z pytaniami zwolenniczek aerobiku. Od pytań ściśle informacyjnych (np. gdzie można kupić w Lublinie kostium do aerobiku?, czy pani Bożena udziela prywatnych lekcji?) do bardziej ogólnych (np. jak mają ćwiczyć i z jakich wskazówek korzystać dziewczyny i kobiety wstydzące się swego ciała lub te, które normalnie nie mają czasu na dojazdy i zajęcia w LDK Klubie „Centrum”?). Istotnie, problem jawiący się w pytaniu (zresztą wcześniej także w rozmowie z p. Bożeną w „Kamery”) nie jest wart lekkiego potraktowania. I nie został tak potraktowany. Bożena Kowalska zgodziła się poprowadzić na naszych łamach kurs aerobiku dla wszystkich. Będzie się składał z kilkunastu odcinków, które pozwolą na samodzielne programowanie i wykonywanie ćwiczeń w warunkach domowych, a zatem przybliży AEROBIC wszystkim zainteresowanym, udemokratyzując go nieco. Tytuł cyklu zawiera odniesienia do ceny „Kamery” i wydaje się, że proponowana w nim oferta jest warta rozważenia.

(Redakcja)

## Najtrudniej zacząć...

**R**ADA ta dotyczy nie tylko aerobiku, ale w ogóle wszystkich form odzwyczajania się (lub przyzwyczajania) od (do) czegoś. Do diety, od palenia itd. Podobnych przykładów możecie wymyślić same, ile zechcecie. Czy warto jest się przyzwyczajając do aerobiku? Na tak postawione pytanie każda z was musi odpowiedzieć sama. Ja — spróbuję je odwrócić: Czy nie warto? I tu radziłabym spojrzeć na sylwetkę Jane Fondy, która w styczniu br. ukończyła 46 lat. Jak myślicie, na ile ona wygląda? Z pewnością nie na tyle, ile ma! Jane uprawia aerobik od 1980 roku, a energicznie i skutecznie lansuje go od 1981 r. Dziś ma na świecie 75 milionów zwolenniczek, w tym 35 milionów w USA! Liczby te rosną z miesiąca na miesiąc i nie wskazuje na to, aby aerobik był tylko przejściową modą; staje się bardziej stylem życia. Tyle wstępu.

Cwiczenia i ich zestawy, które wam zaprezentuję, adresowane są do dziewczyn i pań w każdym wieku. Mało jest w Polsce kobiet, które nie marzyłyby o poprawieniu figury, o pozbyciu się tuszy. One też zapewne najchętniej skorzystają z oferty. Wydaje mi się, że w równym stopniu powinny być nią zainteresowane i te z was, które mają „idealną figurę” i za którymi oglądają się mężczyźni na ulicy. Figura nie jest dana raz na zawsze i warto o tym pamiętać.

Prócz strony fizycznej, w aerobiku równie ważna jest — psychiczna. Cwiczenia mają przynosić, obok zauważalnych oznak poprawy wyglądu, także poczucie odprężenia, satysfakcji, zadowolenia. Są to rzeczy realne i osiągalne.

Nim przystąpię do pierwszej „lekcji” — kilka odpo-

wiedzi na pytania, które sobie zadajecie.

**GDZIE ćwiczyć?** Najlepiej w największym pokoju mieszkania, którym jest zwykle pokój stołowy (dzienny, living room). Musimy w nim wygospodarować, na czas ćwiczeń, jak największą powierzchnię (dobrze, aby był to kwadrat nie mniejszy niż 2 x 2 metry), żeby bez kłopotu móc wykonywać ćwiczenia w pozycji leżącej. W czasie ćwiczeń w pokoju powinno być otwarte (lub uchylone) okno.

**W CZYM ćwiczyć?** Odradzałabym kupowanie drogich i nie zawsze dobrych strojów aerobikowych sprzedawanych w boutique'ach, komisach, czy na targu. Wystarczy, kostium kąpielowy,



Cwiczenie czwarte: skłony tułowia w bok



Cwiczenie pierwsze: rotacja głowy.

bluzka trykotowa i odprute od starego swetra rękawy w charakterze getrów (jest to szczególnie bardzo ważny, chodzi bowiem o izolację termiczną mięśni nóg i tym samym ich ochronę przed „zmęceniem”). Odradzam ćwiczenie w obuwu, choćby to miały być oryginalne baletki. W żadnym wypadku nie powinno to być gumowane obuwie sportowe (tenisówki, trampki, adidas). Najlepiej ćwiczy się bosą. Z pewnością przyda się frotowa opaska (ze starego ręcznika) na czoło pochłaniająca pot.

**KIEDY ćwiczyć?** Tu odpowiedź jest najtrudniejsza i w zasadzie żadna nie jest dobra ani zła. Cwiczenie, kiedy wam czas pozwala. Byłoby dobrze, gdybyście „wykroili” na to czas po powrocie do domu z pracy, uczelni, szkoły. Ma to swoje dobre strony, bowiem stanowi urozmaicenie rytmu dnia, „rozruszanie” fizyczne i psychiczne po wysiłku pracy czy nauki. Ponadto efekty aerobiku są wówczas lepiej zauważalne. Można ćwiczyć przed snem, ale po całym dniu może się nam już po prostu nie chcieć, może nie być warunków (bo np. mąż ogląda ostatnie wydanie Dziennika TV). Trudniej też obserwować efekty, idąc od razu do łóżka. Rano zwykle na aerobik nie znajdziemy czasu, bo wówczas pochłonięte jesteśmy wybieraniem się z domu. Godziny ranne są też momentem, kiedy do zajęć startują inni członkowie rodziny. Stąd najracjonalniejsze wydaje się ćwiczenie po pracy, po przyjeździe do domu, ale nie się nie stanie, kiedy będzie to w innym czasie. Kiedy byście nie ćwiczyły, pamiętajcie o „żelaznej” regule: nie wolno przed ćwiczeniem jeść (musi upłynąć od posiłku minimum 90 minut)! Zalecałabym, jako regułę, po ćwiczeniach — prysnic (ale nie kąpiel w wannie).

A teraz do roboty!

Dzisiejsze ćwiczenia mają charakter rozgrzewkowy, przygotowujący do wykonywania zestawów złożonych. Mają na celu przygotowanie stawów i mięśni do wysiłku fizycznego. W trakcie moich zajęć ta część trwa zwykle 10—12 minut. Jest wykonywana przy muzyce spokojnej. Może to być np. „Kryzysowa narzeczona” lub „Dmuchawce, latawce, wiatr” (wymieniam tytuły polskie i dość łatwo dostępne).



Cwiczenie drugie: rotacja barku.

Cwiczenie nr 1

Pozycja wyjściowa: nogi lekko rozstawione, ramiona luźno wzdłuż tułowia.

Głowa przemieszcza się wolno do lewego barku, z mocnym opadnięciem w końcowej fazie. Dla łatwiejszego wykonania możemy po łechu liczyć do trzech, tak żeby na: „trzy” przypadało energiczne opadnięcie głowy. Następnie to samo — w prawą stronę. Potem — do przodu i do tyłu. Przy rotacji głowy w przód staramy się, aby w ostatniej fazie ruchu broda dotknęła klatki piersiowej. W tył — szczytów pleców.

Cwiczenie wykonujemy kolejno cztery razy, pamiętając o kolejności sekwencji: lewo — prawo — przód — tył. Zakończenie wolnymi obrotami głowy w obie strony (po 10 obrotów).

Oddychanie w czasie ćwiczenia — normalne; przy rotacji głowy w tył — usta otwarte.

Cwiczenie nr 2

Pozycja wyjściowa: tak jak w poprzednim ćwiczeniu.

Lewy bark podnosimy wolno do ucha, po czym energicznie opuszczamy, zwalnając napięcie mięśniowe (siłą bezwładności). Tempo ćwiczenia „na cztery”. Na „trzy” dotknięcie barku do ucha i na „cztery” — energiczne opuszczenie w dół. To samo w przypadku prawego barku.

Cwiczenia wykonujemy czterokrotnie, na przemian: lewy bark — prawy bark. Zakończenie wolnymi obrotami barków do przodu i tyłu (po 10 obrotów).

Oddychanie — normalne.

Cwiczenie nr 3

Pozycja wyjściowa: nogi lekko rozstawione, ramiona uniesione w górę.

Lewe ramię unosimy jak najwyżej, jednocześnie wysuwając do góry prawe biodro (lekko unosząc się na palcach prawej nogi). Następnie to samo z prawym ramieniem i lewym biodrem.

Cwiczenie wykonujemy ośmiokrotnie. Bardzo istotne jest, aby było robione płynnie, wolno, z maksymalnym „wzrucieniem się” w ruch ciała.

Oddychanie dostosowane do cyklu zmiany ramienia (wysuwanego do góry). Lewe ramię — wdech, prawe — wydech.

Zakończenie powrotem do pozycji wyjściowej.



Cwiczenie trzecie: rotacja ramienia i biodra.

Cwiczenie nr 4

Pozycja wyjściowa: nogi lekko rozstawione, lewa dłoń nad głową, prawa — na biodrze.

Wykonujemy skłony tułowia w lewo. Tempo ćwiczenia „na cztery”. Staramy się, żeby każdy kolejny skłon był głębszy od poprzedniego (najgłębszy — czwarty). Powracamy do pozycji wyjściowej i to samo — w prawo. Staramy się, aby przez cały czas ćwiczenia dłoń (lewa przy skłonach w lewo i prawa — w prawo) znajdowała się dokładnie nad głową i nie opadała niżej.

Cwiczenie wykonujemy czterokrotnie na przemian w lewo i prawo.

Oddychanie — normalne.

Zakończenie — w pozycji wyjściowej.

Przedstawiona wyżej „porcja” ćwiczeń przeznaczona jest na najbliższe dwa tygodnie (co określa cykl edycyjny „Kamery”). W warunkach kursu powtarza się ona na początku każdego zajęć czyli trzy razy w tygodniu przez sześć tygodni (18-krotnie). Cwiczenia należy wykonywać codziennie. Niewykluczone, iż po pewnym czasie ćwiczenia mogą się wydać monotonne. Radziłabym wówczas zmienić podkład muzyczny. Doradzam również — o ile to możliwe — ćwiczenie wspólnie z córką, mamą, siostrą, koleżanką.

Pierwszą „lekcję” chciałabym zakończyć wskazówkami dietetycznymi. Przystępując do ćwiczenia aerobiku, należy: na początek zrezygnować z połowy spożywanego dziennie pierścienia i ziemniaków; zastąpić kolację szklanką soku z marchwi i drobno posiekanym pieczywem na cięciu; ograniczyć o połowę palenie papierosów, pamiętając, aby pierwszego papierosa wypalać nie wcześniej niż o godzinie 11, a ostatniego nie później niż o 19, a także nie palić dwie godziny przed i dwie — po ćwiczeniach.

To wszystko. Życzę miłych ćwiczeń. Nie przejmujcie się, jeśli będziecie odczuwać po pierwszych próbach zmęczenie. Jest to zupełnie normalne. Osobom z chorobami układu krążenia i serca radziłabym skonsultowanie ćwiczeń z lekarzem. Do widzenia!

Opracował: Michał Rey

Zdjęcia: Maciej Kaczanowski